

ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 6 (152) • czerwiec 2019 • Cena 3,00 zł



Praca jak marzenie

Paweł Piekuta to dzisiaj wzięty fryzjer stylistą. Zapracowany, ale zadowolony. Etapami spełniał swoje marzenia o pracy przy dużych produkcjach telewizyjnych. Współpracuje z telewizją Polsat przy festiwalach czy koncertach sylwestrowych, gdzie od zaplecza garderobianego – niejednego – show, ma możliwość dotknąć gwiazd, a nawet je uczesać. Współpracuje z takimi artystami, jak Ania Wyszkoni, Justyna Steczkowska czy Marta Gałuszewska. W minionym roku z marką Biotebel współtworzył Wyczesany Vlog, w którym udziela rad dotyczących pielęgnacji i układania włosów. Na co dzień pracuje we wrocławskim salonie Unique, bo jak sam twierdzi – gwiazdy zaspokajają jego dziecięce pragnienia, które dzisiaj są przygodą i jednocześnie inspiracją, a on jest przede wszystkim fryzjerem ludzi. Jego zdaniem sukcesem nie jest stworzenie fryzury, z której dumny jest fryzjer tylko fryzury, w której kobieta czuje się najpiękniejsza.

Gdy był dzieckiem rodzice byli dla niego ideałami. Żył w przekonaniu, że mama wie wszystko, co kobieta wiedzieć powinna, a tato potrafi wszystko, co powinien mężczyzna. On jednak łamał stereotypy. Jego pierwszą ulubioną zabawką była lalka z długimi włosami – krakowianka. Nie pamięta skąd ją miał – czy dostał od ciotki, czy była to lalka Julity, jego ówczesnej sąsiadki i przyjaciółki. Fakt jest taki, że mimo usilnych starań taty, który podstawił mu przeróżne auta, mały Paweł nie był „czuły na metal”. Dla niego materia musiała być lekka, pachnąca i miękka... Ganiał z lalkami, by włosy fruwały i falowały na wietrze. Gdy był już starszy i zdawał sobie sprawę, że ludzie dziwnie patrzą na chłopca bawiącego się lalkami, tworzył je sobie sam. W latach 80. ludziom

kreatywności nie brakowało, więc Paweł np. brał tubę po folii kuchennej, rysował na niej twarz, a potem „podkrażał” mamie różnokolorowe wełny i tworzył balejaże, rozkręcał kawałki włóczki, skręcał je, zaplatał warkocze, czasem moczył, później suszył. Pierwszymi modelami byli brat i mama. Kuba, 8 lat młodszy, przyjął ofertę i za podcięcie backów „uprzejmie” pozwolił sprzątać swój pokój. Obie strony były zadowolone, więc przystęga stała się zwyczajem.

Wybierając szkołę średnią, miał dylemat, czy fryzjerstwo jest dobrą drogą, czy jest to wystarczająco męski zawód. Nie ulegał presji znajomych, ale zdanie jego rodziców zawsze było dla niego ważne. Rodzice, martwiąc się o przyszłość swojego syna, radzili mu, by spróbował swoich sił w technikum pocztowo-telekomunikacyjnym, ponieważ telekomunikacja w latach 90. jawiła się jako dobry pracodawca, gwarantujący godziwe wynagrodzenie. Sądzili, że skoro nie lubi brudzić się w warsztacie samochodowym, to będzie to dobry wybór. Przekonali syna do złożenia dokumentów. Przyjęto go, szkołę skończył, ale od początku wiedział, że to nie jego świat.

Po maturze znalazł się na studiach ekonomicznych w Szczecinie. Kolejny raz dał się namówić rodzicom, ale po pierwszym półroczu opuścił uczelnię. Do zmian i podążania ku własnym zainteresowaniom natchnął



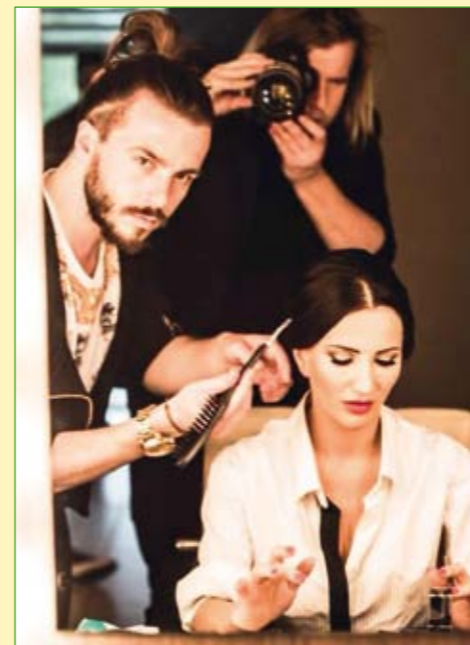
go Paulo Coelho. Dodatkowym impulsem było spotkanie z jego ówczesną idolką, która fascynowała go, odkąd skończył 14 lat. Dumnie kibicował jej w konkursie Eurowizji; do dzisiaj pamięta ból zacięniętych kciuków, jakby od nich zależał mial sukces piosenkarki w konkursie. Pamięta też niemal rytualny, odbywający się każdego dnia, przegląd prasy w poszukiwaniu wiadomości o niej. Ich spotkanie po koncercie w Szczecinie było przełomowe - to jej pierwszej wyznał, że jego marzeniem jest praca za kulisami koncertów, telewizji, ale sam nie wiedział, czy chciałby być stylistą, czy fryzjerem. Wtedy usłyszał, że gdyby nie rzuciła szkoły i nie postawiła wszystkiego na jedną kartę, to zapewne pracowałaby w jakiejś kwiaciarni. Był pewien, że przerwanie studiów było dobrą decyzją, ponieważ na tym etapie życia nie był szczęśliwy. Krokiem zbliżającym go do spełnienia marzeń stało się studium projektowania i stylizacji ubioru z przewidzianymi zajęciami z fryzjerstwa na drugim roku. Od pierwszych zajęć był chwalony za rysunki, które w technikum wykonywał na końcu zeszytu. Poczuł, że znajduje się w odpowiednim miejscu. Potwierdzeniem dobrego wyboru był fakt, że chwalono go za coś, co nie było dla niego pracą, tylko przyjemnością.

Czasami życiem kierują przypadki, czasami sprzyjające okoliczności. Pewnego dnia, wracając z koleżanką ze szkoły – Joanną Bielską, dzisiaj Kowalczyk, którą serdecznie pozdrawia - oboje zwrócili uwagę na fryzurę chłopaka na ulicy. Zachwyt przesyłał w natychmiastową chęć posiadania podobnej fryzury i w towarzystwie koleżanki nazajutrz miał udać się do salonu fryzjerskiego. Jeszcze tylko codzienna prasówka na dworcu przed wyjazdem z Wrocławia do domu... I niespodzianka! Na jednym ze zdjęć rozpoznał chłopaka z ulicy. Okazało się, że jest fryzjerem w nowo otwartym salonie we Wrocławiu. Zapamiętał adres. Okazało się jednak, że to salon wyłącznie dla kobiet i polecono mu inny.



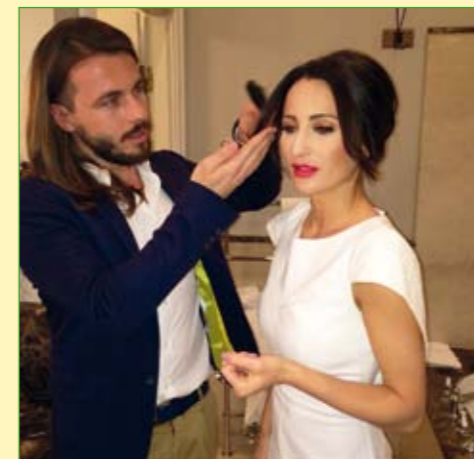
Niedługo potem odezwała się do niego fryzjarka z Belchatowa z prośbą o „naprawienie” fryzury po nieudanej wizycie fryzjerskiej. Paweł wpadł na pomysł, że pojedą razem do fryzjera we Wrocławiu. Zaproponował salon, który odwiedził wcześniej z koleżanką. Nie wiedzieli o zapisach, ale nieobecność jednej z klientek spowodowała lukę czasową, więc fryzjer zaprosił kuzynkę na fotel. Paweł poszedł za ciosem i zapytał, czy może obserwować pracę fryzjera. Zagadywał, podpytywał i tak zaczęła się jego znajomość z Danielem – współwłaścicielem salonu, który nie krył, że to niełatwa droga, ale podpowiedział, że są salony, które przyjmują uczniów na przyuczenie. Nie zastanawiając się długo, zapytał, czy jest u nich takowa możliwość. Odpowiedź okazała się standardowa – „Porozmawiam, zadzwonię za jakiś czas”. Ale udało się - od 1 października zaczął praktykę. Początkowo miał pracować 3-4 godziny dziennie, ale był tak zadowolony z pracy, którą tam wykonywał, że wypełniał ją cały swój dzień. W salonie był więc obecny od jego otwarcia do zamknięcia. W swoim pierwszym miejscu pracy realizuje się już osiemnasty rok. Na starcie nieoceniona okazała się być pomoc sąsiadki ze Złotoryi, która „podzieliła się” pokojem. Szefowie od początku byli z jego pracy bardzo zadowoleni, więc otrzymywał wynagrodzenie, dzięki któremu szybko stał się niezależny finansowo. Początki pracy były zarówno ekscytujące, jak i stresujące, jak choćby pierwsze mycie głowy klientki, podczas którego zestresowała go bardzo kropla wody spływająca po czole pewnej pani. Wspominał, że nie była zdenerwowana, więc i jego stres szybko minął. Mimo że z każdym kolejnym dniem nabierał coraz większego doświadczenia, nie ominęły go chwile zwątpienia - jakie ma szanse, kiedy w salonie jest dwóch fantastycznych szefów, trójka fryzjerów, którzy pracują świetnie, więc kto będzie chciał umówić się do asystenta? Obawy typowe dla początkującego w każdym zawodzie, ale... dla utalentowanego do pokonania w niedługim czasie.

Dzisiaj Paweł ma swoje klientki, które wracają do niego, nierzadko zaczepiane są na ulicy z prośbą o wskazanie salonu i fryzjera, który tak pięknie czesze. Od dziecka fryzjerstwo nie było dla niego tylko strzyżeniem włosów. Było tworzeniem wizerunku. Od zawsze wiedział, że dobre włosy, to lepsze samopoczucie. Od początku chciał dawać swoim klientkom poczucie wyjątkowości. Uważa, że można dobrać perfekcyjną fryzurę do kształtu twarzy, ale do „czytania w myślach” klientek potrzebna jest więc tworzona przez wierność. I tak pewnego dnia przyjechała do niego szalona dziewczyna z Elbląga. Miała plan na swoje włosy, ale totalnie Pawłowi zaufała. Nie było jej straszne 7 godzin w pociągu w jedną stronę - wracała zadowolona. Gdy po 2,5 roku regularnych wizyt wyznała swojemu fryzjerowi, że dostała się do przesłuchań w ciemno 8. edycji „The Voice of Poland”, Paweł bez wahania powiedział, że



musi być różowa. Marcie bliżej było do niebieskiego, ale podobno nie było dyskusji. Tym sposobem stał się „ojcem różu”, a Marta w kolorowej oprawie oczarowała widzów glosem i wygrała program. W minionym roku Paweł towarzyszył jej na niemal wszystkich festiwalach muzycznych w Polsce, był na wyjątkowość, dbał o jej włosy. Miejmy nadzieję, że podobnym „barwnym” historiom nie będzie końca.

Każdy następny etap w życiu powodował, że miejsca spełnionych marzeń były wypełniane nowymi. Mając na uwadze podejście Pawła do życia, śmiem twierdzić, że dla niego marzenia to cele z datą realizacji. Gdy opowiadał mi swoją historię, siedzieliśmy w bufecie warszawskiego ATM Studio, gdzie pracuje przy produkcji programu „Dancing with the Stars. Taniec z Gwiazdami”. Mimochodem zapytałam więc: jak przygotowania do wejścia na żywo? Z zaangażowaniem zaczął opowiadać, że fryzjerzy są w pełnej gotowości już od 14:30. On zaczął od uczesania prowadzącej – Pauliny Sykut-Jeźny, która pojawia się jeszcze przed próbą generalną, kiedy jej fryzura ma swój początek, po – koniec. Wyznał, że głów do uczesania jest zawsze dużo, bo oprócz gwiazd i tancerzy programu, cheszą wszystkich ludzi, którzy się tam pojawiają, czyli artystów, ludzi z orkiestry etc. Zazwyczaj jest tak, że każdy fryzjer ma kobiety przypisane, czyli wie, którą będzie czesał. Jeżeli ktoś kogoś zna, to automatycznie trafia w ręce tego fryzjera. W przeciwnym razie do tego, który ma mniej głów do uczesania. Zdradził, że czasu jest zawsze bardzo mało, ponieważ próby kończą się o godz. 17:00/18:00, a na godz. 19:30 wszyscy muszą być gotowi, dlatego w tym samym czasie, kiedy wykonywane jest uczesanie, robi się też make-up. Kiedyś myślał, że ludzie z małych miejscowości nie mają szans na wejście do „telewizyjnego” świata. Dzisiaj wie, że każdy bez względu na to skąd pochodzi może osiągnąć wyznaczony cel, jeśli nie zabraknie mu cierpliwości, wiary i odwagi. Paweł Piekuta jest przykładem na to, że niemożliwe nie istnieje. Kiedyś mały chłopiec marzący o „Wielkim Świecie”, dziś z radością bywa jednym z trybików maszyny show-biznesu! Jego ulubionym określeniem tego, czym zajmuje się w życiu, jest zabawa. Dawniej bawił się lalkami, dziś „jego lalki żyły”.



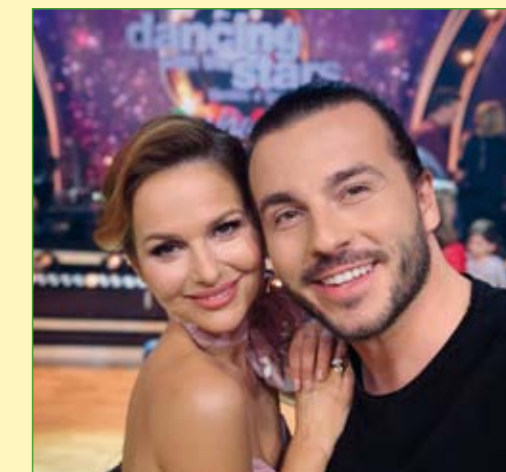
Im jest starszy, tym bardziej docenia miejsce, z którego pochodzi. Gdy pytam o Złotoryję, mówi, że jest „perełką Dolnego Śląska, ale przede wszystkim jest jego dzieciństwem”. Dodaje: „Tam są takie uliczki, gdzie ja miałem pierwsze randki, gdzie chodziłem ze znajomymi i faktycznie to są takie miejsca, które wspominam z łezką w oku”. Dostrzega, że im bardziej nasycą się show-biznesem, tym bardziej skłania się ku temu, że być może kiedyś znowu zamieszka w Złotoryi. „Jak 20 lat temu mówiłem, że chcę do dużego miasta, tak teraz sobie myślę, że Złotoryja jest faktycznie takim małym, ale nie za małym, dalekim, ale wcale nie za dalekim miastem, które daje komfort mieszkania - tam jest wszędzie blisko”. Myśli sobie, że „Złotoryja jest bardzo fajną alternatywą dla ludzi, którzy właśnie osiągnęli już pewien sukces zawodowy, ale taki medialny – ponieważ oczywiście tam można osiągnąć sukces zawodowy w różnych dziedzinach – bo jeżeli ja chciałem dotknąć gwiazd, to nie mogłem tego zrobić w Złotoryi, musiałem wyjechać do Warszawy, ale właśnie – gdybyś 20 lat temu zapytała mnie gdzie chciałbym mieszkać, odpowiedziałbym, że może w Warszawie albo LA. Dziś na to samo pytanie odpowiem Ci zupełnie inaczej. Już wiem jak smakuje wielkie miasto. Gdzie chciałbym mieszkać? Teraz memu sercu bliżej do Złotoryi niż LA” (śmiech).

Życie jest zaskakujące, więc spodziewajmy się niespodziewanego.

Tekst: Jagoda Zielińska

Zdjęcia z prywatnego archiwum Pawła Piekuta.

Autorka jest leśniczką, absolwentką dziennikarstwa jednej z warszawskich uczelni. Prowadzi blog „Live your dreams”, w którym przedstawia drogi ludzi - znanych i nieznanych - do spełnienia swoich marzeń. 23 lipca światło dzienne ujrzy jej debiutancka książka „Live your dreams - 23 scenariusze napisane przez życie”, w której - ma nadzieję - kryją się osobiste prawdy, które przemówią do nas wszystkich. Jak sama twierdzi, życie pisze najlepsze scenariusze, a prawdziwe historie smakują najbardziej, dlatego wierzy, że każda z dwudziestu trzech - która tworzy tę książkę - będzie uskrzydlająca, wąpiącym przywróci wiarę w sens marzeń, które można spełnić, jeśli nie odłożymy ich na półkę.



Tak się z nami skontaktujesz...

Redakcja Echa:
internet: www.facebook.com/echo.zlotoryi
e-mail: echo@tmzz.pl
Spotkanie Redakcji Echa
(w poniedziałki 17.00-18.00)

Stowarzyszenie TMZZ:
internet: www.tmzz-zlotoryja.pl
(sprawdź też na facebooku)
e-mail: tmzz@tmzz-zlotoryja.pl
tel.: 571254858

Fot. www.nw.de lokal/kreis_herford/loehne/3445656_Von-der-Seele-geschrieben



Spotkanie z Bernhardem Hauptmannem

W Złotoryi nie brakuje pasjonatów lokalnej historii, ale na spotkanie z Bernhardem Hauptmannem przyjechali zainteresowani z okolic Jeleniej Góry, Lwówka Śląskiego, Görlitz, Pielgrzymki, Proboszczowa i oczywiście obecni i dawni mieszkańcy Twardocic, przed wojną Harpersdorf – wioski, z której pochodził bohater spotkania zorganizowanego przez Złotoryjski Ośrodek Kultury i Rekreacji oraz Centrum Informacji Turystycznej. Spotkanie odbyło się 1 lipca br. i skupiło się wokół wydanej w zeszłym roku książki „Und wieder lebt die Heimat Wege der Erinnerung – Wege der Versöhnung”.

Spotkanie prowadziła Sylwia Dudek-Kokot, w roli tłumacza zadebiutowała Ewelina Zawadzka. Po słowie wstępnym głos zabrał Bernhard Hauptmann i zgromadzona publiczność usłyszała opowieść o sielskim dzieciństwie spędzonym w Twardocicach, które przerwało wejście wojsk rosyjskich w kwietniu 1945 r. Sześćoletni wówczas Bernhard znalazł się w złym czasie i w złym miejscu – wciągnięty został w sam środek ostrzału, zmuszony do dostarczenia amunicji żołnierzom przeciwnika. Walki trwały prawie miesiąc i mały chłopiec dzień po dniu biegał narażony na kule z broni rodaków, którzy bronili swojego terenu z Ostrzycy. Przytłoczony ciężarem, nieustannie głodny i spragniony, stał się świadkiem wydarzeń, które do dzisiaj tkwią pod powiekami i powracają w postaci sennych koszmarów. Ponad osiemdziesięcioletni już mężczyzna wciąż przesładuje widok ciał żołnierzy dziurawionych

porciskami i rozrywanych granatami, huk, dym i niemijająca suchość w gardle, którą gasił brudnym śniegiem. W ostatnim dniu walk małego chłopca „podziękowano” ciosami w przedramiona, które nieopatrzone przez lekarza, zle zrosły się i odebrały sprawność w rękach.

Bohater spotkania opowiadał także o znikaniu kobiet i ich córek, już wówczas w większości wdów i pólserot, pozbawionych męskiego opiekuna, o uciekających przed frontem z podwrocławskich miejscowości, którym matka udzielała schronienia, ale gdy sami stali się uchodźcami i trafili pod obce dachy w Niemczech, byli traktowani jak „zło konieczne”.

Mimo tych przykrych wydarzeń miejsce dzieciństwa – Twardocice, dobrze zapisały się w pamięci. B. Hauptmann opowiadał o wielokrotnych powrotach do wsi i wieloletnich kontaktach z innymi twardociczanie. Gdy przeszedł na emeryturę, a pamięć zbyt często „przeskakiwała” do okresu, który chciałoby się zapomnieć – postanowił opisać swoje życie i miejsce pochodzenia. Dla rodaków ta mała, ale bogata w treść książka, okazała się targowym bestsellerem i pozycją polecaną młodzieży do analizy czasów wojennych. Dla miłośników ziemi złotoryjskiej będzie niewątpliwie cenną opowieścią, która zapełni puste plamy lokalnej historii. Autor ciekawie opisuje przedwojenną wieś, sprawnie przechodzi do nowych wątków, przytacza nazwiska mieszkańców, przy czym niektóre z nich znane są

złotoryjanom. Książka dostępna jedynie w języku niemieckim (znalazła wielu nabywców) ma swoje „brudnopisowe” tłumaczenie. Mam nadzieję, że nie będziemy musieli czekać zbyt długo, by większe grono czytelników mogło zapoznać się z jej treścią. Autor przyznał, że nie wszystkie opowiedziane na forum drastyczne historie zawarł w książce, ale zapowiedź tego, co się w niej znalazło możliwe było dzięki wybranym fragmentom odczytanym przez Sylwię Dudek-Kokot.

Podczas spotkania organizatorzy zaprezentowali kolekcję zdjęć przedwojennej zabudowy Twardocic, nieistniejących pałaców i gospodarstw oraz współczesny stan tych, które ostały się do naszych czasów; były także fotografie z rodzinnego archiwum B. Hauptmanna.

Ponieważ bohater spotkania nosi ważne „noblowskie” nazwisko i dumny jest z krewnego, znanego w świecie dramaturgów, autora nagrodzonych „Tkaczy” (1892, opisujących powstanie tkaczy śląskich), przedstawił życiorys Gerharda Hauptmanna. Był on autorem zaangażowanym społecznie, w swojej twórczości opisywał biedę i niesprawiedliwość, których doświadczali ludzie, a także dla kontrastu - upadek moralny mieszczańskiej klasy średniej.

W spotkaniu uczestniczyło około 70 osób, to dużo zważywszy na porę urlopową i wysoką temperaturę, która wiele osób zaprowadziła nad wodę lub zatrzymała w domu. Wszystkich zainteresowanych wspomnieniami odsyłamy do Internetu, gdzie dostępne jest nagranie ze spotkania.

Joanna Sosa-Misiak



Zapraszamy na HARMIDER

31.08.2019 r. - sobota, 16.00
- Zalew Złotoryjski

Pierwsze, ale nie ostatnie takie wydarzenie w Złotoryi!

~ Zumba strong - Magda Hrycaj (Zumba)
~ Tabata i cardio power - Aneta Bożych (Endorfina A.B.)
~ Sztuki walki - Kinga Zagdańska (Akademia Samoobrony dla Pań)

Szykujcie formę!!!

Pan Stach uzdrowiciel

Wanda Dukala wybrała się do lekarza. Nie żeby jej coś dolegało! Od kiedy jest na emeryturze, postanowiła bardziej przyłożyć się do pielęgnowania zdrowia i urody. Tylko w głębi duszy pragnęła zachować gładką skórę, opóźnić powstawanie zmarszczek, bo w rozmowach z sąsiadkami stwarzała wrażenie, że w tym wieku troska o urodę jest bez sensu; bo niby dla kogo i po co. Ale przypadek Józsi Nyczek, która przywiozła sobie kawalera z sanatorium pokazuje, że w każdym wieku można stać się obiektem zainteresowania płci przeciwnej. I zaczęło się: spryskiwanie twarzy wodą różaną, nakładanie na zmiany pigmentowe plasterków świeżego ogórka, nakładanie na włosy maseczki z jajka i miodu. Oczekiwanie wypełniała konsumpcją zestawu: 2 migdały, 4 rodzynki, 1 daktyl, ½ banana i zielona herbata. Podczas oglądania telewizji intensywnie ćwiczyła na siedząco obroty tułowia w lewo pięć i w prawo pięć. Kiedy zaczynały po tydkach spacerować mrówki, pani Wanda podchodziła do krzesła i trzymając się oparcia, imitowała bieganie na palcach, piętach i zewnętrznych krawędziach stóp. Wewnętrznych już nie ćwiczyła, bo kiedy ostatnio ustawiła krzyżownicę, coś chrupnęło w kostce tak, że była przekonana, iż staw uległ rozsypaniu. Po odpoczynku, zadowolona, że nic się nie stało, wykreśliła ryzykowne ćwiczenie z wykazu. Pani Wanda katowała się dietą (po wizycie u diabetologa), kosmetykami, oklepywaniem podbródka, bo termin wyjazdu zbliżał się nieubłaganie. Według oceny zabrakło jej około dwóch tygodni, a wszystko z powodu tego, że dała się namówić na kurs origami, zajęcia podstawowe i ćwiczenia zabrały jej za dużo czasu.

Po podjęciu emerytury zabrała się do kilku sklepów i uległa pokusie kupna zwiewnej sukienki z dużym (może za dużym?) dekoltem. Bardzo chciała zaprezentować wypielęgnowaną skórę i miała nadzieję, że w sanatoryjnym gronie

poruszy niejedno męskie serce. Uśmiechnęła się do swoich myśli i postanowiła, że tym razem nie da się wyprzedzić żadnej blondynce z fryzurą upiętą w misterne loczki. Odwiedziła fryzjerkę, pomalowała paznokcie. Na dwa dni przed wyjazdem w przedpokoju rozsiadły się dwie przepastne torby i walizka - nowoczesna, na czterech kółkach.

Nadszedł dzień wyjazdu. Lokalny wielbiciel wdzięku pani Wandy zameldował się rano, by odstawić kuracjuszkę na zbiórkę do Legnicy. Wszystko wypełniała konsumpcją według planu; pan Jerzy ofiarne zrobił dwa kursy na trzecie piętro, przenosząc bagaże, mieszkanie zostało powierzone pod opiekę sąsiadce, pani Wanda miała chmurną minę i jakąś mgłę w oczach. Pan Jerzy spoglądał ukradkiem i miał nadzieję, że to rozstanie z nim napawa „jego dziewczynę” smutkiem. Nie wiedział, bo skąd, że panią Wandę w nocy dopadły bóle kolan i cierpienie zdjęło z jej, zwykle pogodnej, twarzy uśmiech. Prawie całą drogę do Legnicy przejechali w milczeniu, autokar już czekał i bez zbędnego marudzenia „wesoły autobus” ruszył.

Manewry sanatoryjne pani Wanda знаła, więc po załatwieniu formalności, po ciepłutkiej kąpielii zasnęła. Niestety następnego dnia ból kolan nie odpuszczał, a czekał ich wieczorek towarzyski z tańcami. Pierwszego dnia dopiero ustalano grafik zabiegów. Wiele pań z nogami w górze odpoczywało i zbierało siły na wieczorne harce. Pani Wanda, podłamana cierpieniem, nawet rozważała rezygnację z udziału w wieczorku. Ostatecznie powiedziała sobie: posiedzę, popatrzę. I tak było do pewnego momentu. Gdzieś po godzinie na salę wszedł mężczyzna dobrze zbudowany, pod siedemdziesiątkę, w białym garniturze i w lustrzanych przeciwslonecznych okularach. Wszedł, zatrzymał się i zdejmując okulary prześlizgnął się wzrokiem

po sali. Pani Wanda wpatrywała się w przybysza i kiedy ich spojrzenia skrzyżowały się, poczuła na plecach dreszcze. Pan w bieli niedbale oparł się o bufet, zamówił jakiś napój i metodycznie takował kolejno wszystkie panie. Pani Wanda świadoma swego powabu, którym codziennie zachwycał się pan Jerzy, poczuła się dotknięta beczelnym spojrzeniem obcego, ale też na tyle zaintrygowana, że nie mogła się oprzeć pokusie i szybkimi spojrzeniami sprawdzała, co on tam robi. Orkiestra podstroila instrumenty i jakby na rozkaz zagrała „Tango Milonga”. Kelnerzy krzątały się z zamówieniami, ktoś przygasił światła i przez salę przemknęły kormorany, by zaraz po nich błysnął na palcu złoty pierścienek. Kiedy zagrano przebój Sipińskiej „Są takie dni w tygodniu”, pani Wanda zamknęła oczy i płynęła już w ramionach swego męża, świetnego tancerza, z którym przetańczyli niejedną noc. Dzisiejszy wieczór był jednym z tych dni tygodnia, gdy nic się nie układało. Oddając się wspomnieniom, nie od razu poczuła delikatny dotyk w ramię i szepot: czy mogę prosić do tańca? Wyrwana z obrazów przeszłości otworzyła oczy i ujrzała pochylonego nad nią pana spod bufetu. Wyciągnęła ku niemu obie ręce, jakby w obawie, że z jednej jej się wymknie. Wstała, a on objął ją, przyciągnął ku sobie i parkiet należał do nich. Pani Wanda poddała się rytmowi i krokom tanecznym wielokrotnie w przeszłości przeciwczonym. Wiązanka tanecznych melodii nie miała końca i kiedy kolejne pary opuściły parkiet, oni wciąż tańczyli. Potem dowiedziała się, że pan ma na imię Stanisław i jest kuracjuszem w sąsiednim ośrodku. Pan Stach i pani Wanda jeszcze kilka razy umówili się na spacer, odnajdując w sobie interesujące towarzystwo. Pani Wanda odniosła jeszcze i tę korzyść, że zapomniała o... bólu nóg.

Panie Wandy przez cały rok jeżdżą do sanatoriów na turnusy rehabilitacyjne i każde może się przytrafić spotkanie Pana Stacha Uzdrowiciela, czego im serdecznie życzę.

Opowieści Stasi, Jasi, Haliny i Bożeny zmiksowała Danuta Sosa

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej

zaprasza na wieczornicę poświęconą

SETNEJ ROCZNICY POWSTAŃ ŚLĄSKICH,

która odbędzie się 13.08.2019 r. o godz. 17.00
w sali konferencyjnej PODNiPPP
(ul. Szkolna 1, DN „Bacalarus”).

W programie: okolicznościowa prelekcja, pieśni powstańcze, humor górnośląski.



Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej

zaprasza na promocję książki

Inskrypcje złotoryjskie z XV-XX wieku Goldberger Inschriften des 15.-20. Jahrhunderts

Biblioteczka Miłośników Ziemi Złotoryjskiej Tom 13
Autorzy: Józef Banaszek, Roman Gorzkowski,
Andreas Laengner

Kościół św. Mikołaja
w Złotoryi ul. Cmentarna
16 sierpnia 2019 r.
o godz. 10.00

W programie m.in.:

- spotkanie ekumeniczne,
- występy artystyczne,
- przypomnienie dotychczasowej współpracy polsko-niemieckiej,
- prezentacja książki.

W dniu 17 sierpnia 2019 r. o godz. 10.00 zapraszamy na zwiedzanie kościoła Narodzenia Najświętszej Maryi Panny i spotkanie z inskrypcjami tej świątyni.





Ganek, ul. Staszica 3



Ganek, pl. Niepodległości



Ganek na podmurówce, ul. Legnicka 24



Ganek, ul. Wojska Polskiego 2



Ul. Matejki 2



Ul. Staszica 12



Wykusznia podporach, ul. 3 Maja 15



Ul. Grunwaldzka 3

Koronkowa snycerka

Drewno jest materiałem stosowanym w budownictwie i zdobnictwie od wieków. To materiał nie tylko użyteczny, stosunkowo prosty w obróbce i trwały, ale także zwyczajnie piękny. Z jednej strony kojarzony z biedą i zacofaniem, z drugiej – z pomysłowością, unikatowością, a nawet bogactwem. Podczas gdy na wsi było podstawowym budulcem, w mieście stało się elementem konstrukcyjnym i dekorującym.

Złotoryja ma swoje różne „smaczki” – należą do nich również dekoracje architektoniczne z drewna. Raz stanowią drobny element ornamentowy, innym razem sprawiają wrażenie dominanta, która dekoruje całość. Powstały w czasach rzemieślników-artystów, odręcznych rysunków i lokalnych materiałów budowlanych, które nadawały architekturze unikatowy charakter, usprawiedliwiały odstępstwa od pierwowzorów. Po wojnie wiele obiektów z czasów mody na ludowość zniknęło bezpowrotnie i podziwiać je możemy już tylko dzięki pocztówkom. Ale cóż... cieszymy się tym, co mamy!

Złotoryja, choć kojarzona z wydobyciem złota i przemysłem tkackim, jak wiele miasteczek w XIX w. poddawała się różnym prądom, które niosła cywilizacja. Rozwijała się dzięki sprytno i duchowi przedsiębiorczości mieszkających, ale i dzięki kolei żelaznej oraz ruchowi pielgrzymkowemu czy turystyczno-kuracyjnemu. Ten ostatni mocno wpłynął na ilość i jakość miejscowości znajdujących się „na trasie” do modnych kurortów. Podróże i turystyka przestały być przywilejem bogatych, a w obliczu potrzeby wzmacniania ducha i ciała (by nie dało się panującej gruźlicy) z turystyki uczyniono obyczaj dostępny masom. Wierzą, że zmiana klimatu, górskie powietrze i aktywny odpoczynek przedłużają życie. Wiara ta zakorzeniła się szczególnie w społeczeństwie niemieckim i austriackim i to one najbardziej inwestowały w infrastrukturę turystyczną (schroniska, pensjonaty, restauracje). Styl alpejski (szwajcarski, tyrolski) zataczał coraz szersze kręgi, dotarł do Galicji, stał się znakiem rozpoznawczym ówczesnych środkowoeuropejskich uzdrowisk, powstających od połowy XIX w. do lat 30. kolejnego wieku. Oddalając się od źródła, za sprawą lokalnych budowniczych i rzemieślników, przybierał różne

formy i zdobienia – czasami bardziej rustykalne, innym razem dworsko-rezydencjonalne – z drewnianymi okładzinami lub urokliwym szachulcem, wycinankami, balkonami, loggiami, werandami i gankami. Snycersko zachwycające! Architektura kurortów znalazła swoich naśladowców w mniejszych miejscowościach i na wioskach. Wraz z modnymi miejscami rodził się popyt na atrakcyjne „przystanki”, w których podróźni i letnicy zjedzą, odpoczną i przenocują w drodze „po zdrowie”. Nie były jakieś przystanki, ale takie, w których odbijać się będą światowe (górskie!) trendy. Goldbergerom nie było do nich znowuż tak daleko, bo te zadomowili się w Karłonoszach i Górach Izerskich w postaci stylu tyrolskiego, nie tylko za sprawą aktywnych turystów, ale także przybyszów z Tyrolu, którzy osiedlili się w Myslakowicach.

Złotoryja piękniała dzięki powstającym restauracjom i gospodom, pensjonatom i willom z pokojami do wynajęcia, odwiedzającym modę na dekoracje z drewna. Popyt na „nowe”, ale „po staremu”, nakręcał lokalne biznesy i wpływał na urodę miasta – nowe promenady, parki z altankami, miejsca wypoczynku, ścieżki wokół miasta z punktami widokowymi. Do Złotoryi przybywali goście, których już przy dworcu witała restauracja z uroczą otwartą werandą. Nie pierwsza i nie jedyna...

Jego wysokość ganek

Do licznie występujących w Goldbergu należały drewniane ganki – otwarte (Urząd Stanu Cywilnego), półotwarte (ul. Sikorskiego 3, pl. Niepodległości), zamknięte (ul. Legnicka 24, Wojska Polskiego 2, Staszica 3). Wcześniej ozdoba wiejskich chałup, z czasem domków letniskowych, stylizowanych willi i restauracji. Oddzielał część główną budynku od ulicy, dawał schronienie przed słońcem i deszczem oczekującym na otwarcie drzwi. Ze schodami lub bez nich. W budynkach o charakterze dworcowym i siedzibach instytucji publicznej – bogato zdobiony, podkreślał reprezentacyjny charakter wejścia. Misternie ciosane słupy lub ścianki dźwigały dwuspadowy daszek, czasami z ozdobnymi balustradami pełnymi ażurowych zdobier. Front otwartego ganku zwykle zwieńczony był tympanonem – trójkątnym dekoracyjnym szczytem. Drewno komponowało się z posadzkami z płytek klinkierowych, kamiennych, gresowych lub tradycyjnych

desek. Dzisiaj zastąpione przez murowane wiatrolapy, które chronią wnętrze przed przeciągami i przepływem zimnego powietrza, często pełniąc funkcję garderoby.

Na szczególną uwagę spośród zachowanych i nadal użytkowanych ganków zasługuje ganek będący jednym z trzech wejść do budynku na ul. Staszica 3. Wraz z całym budynkiem przeszedł gruntowny konserwatorski remont. Czekoladowy kolor drewna skonstrastowano z piaskowym kolorem elewacji. Całość wygląda bajkowo, kolorystyka dodaje rytmu i szczytu nad płaskim zadaniem. Idealny zestaw tworzą wycinanki i odeskowanie przestrzeni nad drzwiami czy na ścianach bocznych. Wszystkie detale pasują do siebie jak ulał.

Kolejny ciekawy przykład znajduje się na ul. Legnickiej – na dość wysokiej podmurówce, inny w stylizacji, bowiem główną dekoracją jest tutaj deskowanie pionowe w dolnej części i ułożone promiennie nad oknami.

Dość nietypową, ale atrakcyjną formę posiada wejście do USC – niska balustrada z szalowaniem (deskowaniem) poziomym z nałożonym na to motywem arkadowym, łączony z kutą balustradą. Motyw arkadowy powtórzony pod zadaniem na czterech słupach.

Werandy

Drewniane zadaszone przybudówki na podmurówce – od frontu lub na tyłach domu budynku. Pełniły funkcję wypoczynkowe i reprezentacyjne. Osłone lub otwarte, niektóre miały system zaczepów, które pozwalały na zdejmowanie okien i naświetli po sezonie jesienno-zimowym. Pełniły rolę letniego salonu z widokiem na ogród – były idealnym miejscem na towarzyskie spotkanie, ugoszczenie gości i rodzinny posiłek. Dużym budynkom dodawały lekkości, restauracjom sielskości, zwłaszcza gdy miały dużo elementów arkadowo-azurowych, jak restauracja na Górze Mieszczarskiej czy ulicy Bolesława Chrobrego (rozczepiona weranda, a w latach 60. cały budynek - Kavalierberg). Belkom i krokwiom wystającym poza obrzys zewnętrzny nadawano dekoracyjne zdobienia, w motywach roślinne i geometryczne, także z wizerunkami smoków i ptaków. Pod oknami pojawiały się dekoracje imitujące balustrady z tralkami. Podobnie jak ganki, oplecione były winobluszczem – dekorującym i wyciągającym wilgoć.

W związku z tym, że przedwojenną i powojenną Złotoryję zamieszkiwali wyznawcy judaizmu, któraś z wielu ówczesnych werand mogła pełnić rolę kuczki, czyli bożnicy, którą budowano z drewna (rzadziej murowaną), na wzór szałasów, na pamiętkę wędrowki z Egiptu i marnych warunków, w których przyszło spędzać życie. Cechą charakterystyczną był otwierany pulpitowy lub dwuskrzydłowy dach, otwierany na czas święta Sukkot. Zwycię budowane były od strony podwórza niż elewacji frontowej i przylegały do najokazalszego pokoju (salonu), na pierwszym piętrze. Nierzadko ich wygląd zależał od zasobności portfela – bywały okazy, które były wyrazem zamożności jej użytkownika.

Po wojnie werandy straciły swoje znaczenie, zwłaszcza w willach, w których kwaterowano tyle rodzin, ile było pięter, a nawet pokoi. Weranda stawała się miejscem wspólnym, najczęściej traktowanym jako składzik rzeczy niepotrzebnych lub użytkowanych sezonowo. Albo, jak w przypadku werandy narożnej na ul. 3 Maja (nr 10), należała do właściciela przylegającego do niej mieszkania, który niekoniecznie miał na nią pomysłu lub która była zwyczajnie pomieszczeniem zbędnym, nie uwzględnianym w planach remontowych (ubytki w szkłe zastąpione dyktą, nieszczelne okna, uszczerbione drewno). Czasami zamurowywano okna, zdarzyły się przypadki całkowitej rozbiórki, jak w przypadku willi na ul. Wyszyńskiego 6. Na wzór werand i hal uzdrowiskowych budowano poczekalnie przy wiejskich dworcach (Złotoryja, Jerzmanice Zdrój).

Wykusze i balkony

Werandy czasami miały wygląd wykuszu, wystającego z lica elewacji, poszerzającego wnętrze. Popularny w gotyku, renesansie i historyzmie, ale zapożyczony z architektury islamu. Podwieszony powyżej parteru na wysokości jednej lub więcej kondygnacji, chętnie stosowany, bowiem urozmaicał kształt bryły, zwiększał funkcjonalność reprezentacyjnego pomieszczenia.

Wygląda jak osłonięty balkon, często wsparty na dekoracyjnych wspornikach lub rzadziej na słupach. Do dzisiaj zachowało się ich niewiele – gdy zabrakło funduszy na gruntowny remont, łatwiej było zdemontować. Przed rozbiórką uchronił się ciekawy, w formie i rozmiarze, wykusz, będący częścią domu na ul. 3 Maja pod numerem 15. Liczne ubytki w farbie i drewnie nieco przeszkadzają, ale może remont to tylko kwestia czasu, zważywszy, że budynek „cieszy się” nowym dachem z misterną układanką „w koronkę”. Drewnianą oprawę straciły balkony na Sikorskiego, zabudowa została, ale drewno zastąpiono murem.

Wykorzystywanie prostych form ludowego budownictwa nazwano wernakularyzmem, nadanym mu nowym formom – wynikającym z użycia lokalnych materiałów i wzorów – neowernakularyzmem. W Polsce ciekawą lokalną odmianą stylu alpejskiego/tyrolskiego był tzw. świdermajer na południe od Warszawy wzdłuż Drogi Żelaznej Nadwiślańskiej; na śląskich wioskach spopularyzował się za sprawą szwajcercachów.

Czas i ludzie nadwładli mnogość drewnianych balkonów. Pozostały niedobitki – za to urodziwych kształtów, jak choćby ten z alei Milej – choć nieco schowany za murem, na prostych słupach i tak widać, że jest jak bżuteria, która przyciąga oko nie tylko sroki lubiącej błyskotki, ale wszystkich wrażliwych na urocze detale.

Wycinanki

Pojawienie się nowych ręcznych i mechanicznych narzędzi daje nowe możliwości wykorzystania dotychczasowych materiałów. Tak było też z drewnem. Pojawienie się piły cienkobrzęsłowej czy z niemiecką brzmiejącej laubzegi (od Laubsäge) – cienkiej piłki do wycinania skomplikowanych kształtów i otworów w drewnie, możliwe stało się wycinanie w drewnie falistych linii, zagłębień, które tworzyły ażurowe roślinne lub geometryczne kompozycje. Pojawiło się szerokie pole do popisu, zależne już tylko od zamówienia, wyobraźni artysty i jego wprawnej ręki.

W Złotoryi wycinanek było pod dostatkiem. Cieszyły oczy, demonstrowały kunszt lokalnych stolarzy – były modnym dodatkiem do popularnego stylu alpejskiego, który mocno rozwijał się w kierunku „ażurowania”. Niestety większość nie przetrwała. Były ozdobą ganków, wiat, restauracyjnych werand; prostym bryłom dodawały uroku i przejrzystości, większym gabarytom – przydawały lekkości i malowniczości, były jak broszki na potach ciężkich welnianych płaszczu. Drewniane koronki strawiły pożary, pozostałe rozebrano i potraktowano jako materiał opałowy.

Urok ostatniej kondygnacji

Dachy, które pełniły funkcję czysto konstrukcyjne, otrzymywały niebanalne wykończenie. Końcówki krokwi czy płatwi były opracowywane dekoracyjnie i stanowiły dodatkową ozdobę elewacji. Pod okapem dachu umieszczano poziomą deskę z koronkowymi wycięciami – wróblownicę lub wróblówkę, która jednocześnie blokowała dostęp ptakom pod połacją dachową. Detale snycerskie, inspirowane stylem uzdrowiskowym, licznie występowały



Ul. Grunwaldzka 3



Fragment wycinanki, ul. Staszica 3

u szczytu dachu w postaci wiszących ozdobnych listew, szalowań lub pionowych i poziomych belek, które były i ozdobą, i wzmocnieniem dachu. Widywało się takie pod dachami prywatnych wielokondygnacyjnych willi, na budynkach schronisk, gospód i restauracji. Najładniejsze, zachowane do dzisiaj, znajdziemy na ul. Grunwaldzkiej 3. Piękna koronka z symetrycznie usytuowanymi smokami (prawy z ubytkami) na skrajach zdobi front dość masywnej budowli. W innych miejscach wystające okapy podtrzymują drewniane wsporniki; podobne, choć mniejsze, znajdziemy wokół dachu wieżyczki na Staszica. Warte dostrzeżenia są również oszalowane podpory z ul. Łąkowej 13 czy Sikorskiego 2.

Większe szanse na przetrwanie otrzymały drewniane okładziny szczytów domów. Ozdobne deskowanie pionowe, poziome, ukośne i w geometryczne wzory rzadziej zdobiły całe ściany elewacji, częściej górne kondygnacje i część gospodarczą poddasza. Poddasza, które dzięki zastosowaniu lukarni z drewnianą oprawą, a jakże!, wpuszczały światło, umożliwiając swobodne korzystanie z tych pomieszczeń. Ale wyjątkowego charakteru nadają budynkom elewacje z fachówką (fachwerkieru), czyli tzw. murem pruskim (budownictwo ryglowe) z odsłoniętą drewnianą konstrukcją wypełnioną cegłą lub kamieniem. W Złotoryi co najmniej kilka domów zachowało ściany ryglowe; na szczególną uwagę zasługuje siedziba prokuratury (al. Miła) i ul. Staszica 3-12. Drewniane elementy w liniach prostych, półkolach i innych tworzą układanki, bez których dzisiaj trudno wyobrazić sobie te budynki.

Wiele zachowanych dekoracji przypomina o czasach świetności stylu bazującego na drewnie. Wiele z nich wymaga jednak inwentaryzacji i szybkich działań konserwatorskich. Pozostawienie ich samym sobie spowoduje, że zniszczą je grzyb i wilgoć, a potem ręka ludzka; po rozbiórce raczej nikt nie będzie inwestował w rekonstrukcję. Znikną, a wraz z nimi znikną ślady turystycznej hossy na ziemi złotoryjskiej.

Tekst: Joanna Sosa-Misiak

Zdjęcia: Krystyna Gęsior, uczestniczka sekcji fotograficznej Uniwersytetu Trzeciego Wieku (ZOKiR)



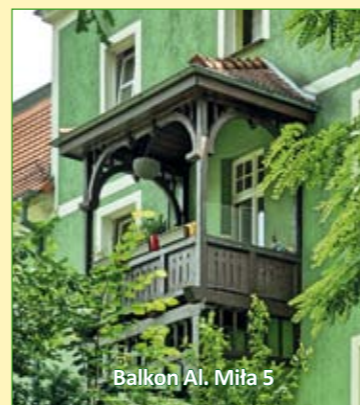
Weranda, ul. 3 Maja 10



Ganek, Urząd Stanu Cywilnego, pl. Reymonta 6



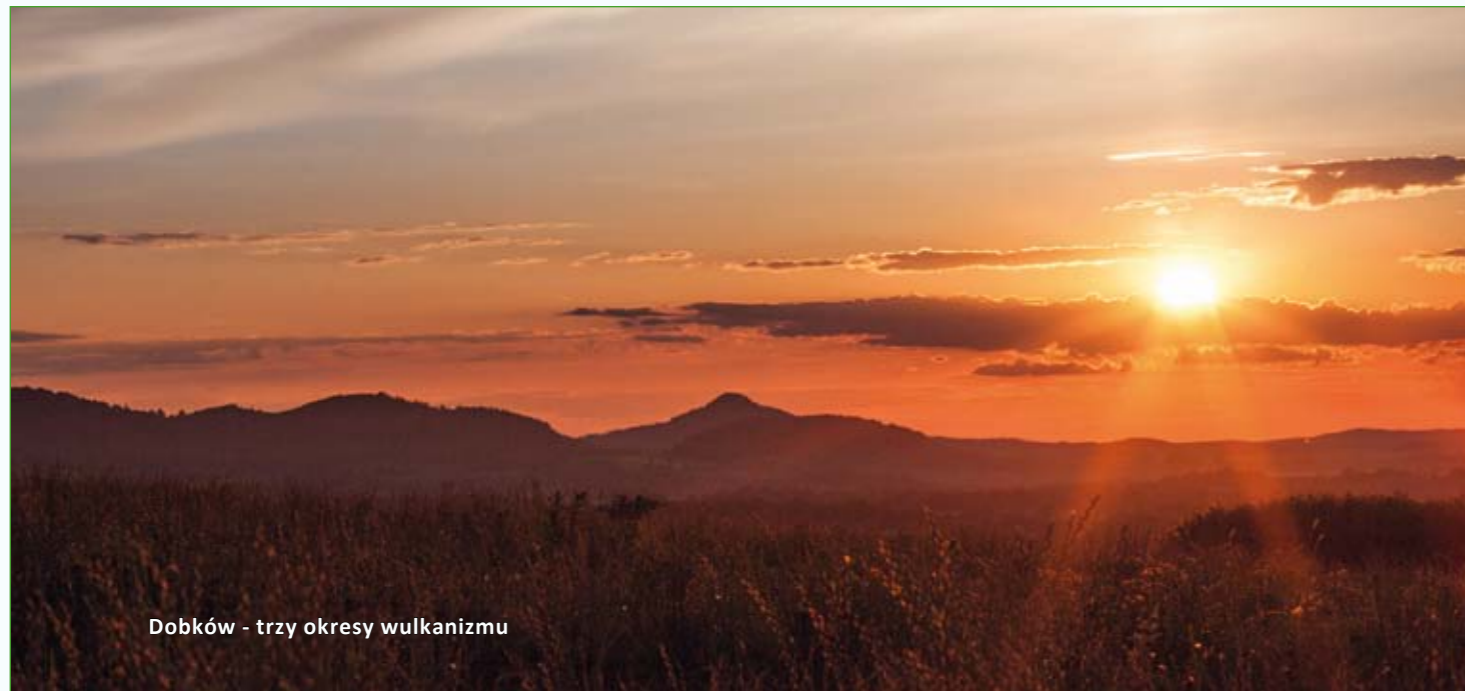
Ul. Sikorskiego



Balkon Al. Miła 5



Wiatna na dworcu kolejowym



Dobków - trzy okresy wulkanizmu

Geopark Kraina Wygasłych Wulkanów

Jeśli wszystko pójdzie dobrze z planem i przy okazji dopisze nam szczęście, już za dwa lata Złotoryja i jej okolice obejmie teren geoparku UNESCO.

Na świecie jest 140 takich miejsc, większość, bo 74 zlokalizowanych na terenie Europy. W Polsce do tej pory mamy tylko jeden – transgraniczny polsko-niemiecki Łuk Mużakowa.

Obecnie trwają przygotowania, konsultacje i zbieranie dokumentacji do stworzenia drugiego takiego miejsca na Dolnym Śląsku. Geopark Kraina Wygasłych Wulkanów. Przedsięwzięcie jest o tyle skomplikowane, że dotyczy wielu gmin dolnośląskich, obejmuje zasięgiem ogromny rejon i kilkanaście samorządów, nadleśnictwa, a koordynowany jest przez Stowarzyszenie Kaczawskie. Aby wykorzystać dobre praktyki, Stowarzyszenie nawiązało współpracę z innymi Geoparkami europejskimi, między

innymi odbyły się wizyty studyjne w islandzkim Katla (gdzie dzieci prowadzą autentyczne badania naukowe), portugalskim Arouca, Papuk w Chorwacji, a ostatnio w Goparku Mużakowskim.

O tym, czym jest geopark i jaka droga czeka nas do finalizacji przedsięwzięcia, mówi Julia Jankowska – koordynator projektu, członek Zarządu Stowarzyszenia Kaczawskiego.

Iwona Pawłowska: Czym są geoparki? Czym różnią się od parków i rezerwatów?

Julia Jankowska: Geoparki to obszary, gdzie unikatowe dziedzictwo geologiczne jest podstawą do promocji i zrównoważonego rozwoju. Celem geoparków jest promocja dziedzictwa przyrody nieożywionej poprzez odpowiednie zabezpieczenie, zagospodarowanie oraz udostępnienie do zwiedzania obiektów geoturystycznych, tzw. geopunktów. W geoparkach istotną jest także kultura, tradycja i aktywność mieszkańców oraz ich identyfikacja z regionem.

Geopark nie jest obszarem chronionym z punktu widzenia prawa, na jego obszarze nie nakładane są zakazy czy ograniczenia gospodarowania, tak jak ma to miejsce w parkach narodowych, krajobrazowych czy rezerwach.

Jaka jest koncepcja naszego geoparku?

Już od wielu lat nasz region promuje się nazwą „Kraina Wygasłych Wulkanów”, z którą identyfikuje się wielu mieszkańców oraz która interesuje coraz większą liczbę turystów. Opieramy promocję naszego regionu na dziedzictwie geologicznym, dawnych wulkanach oraz różnorodności skał i minerałów występujących w okolicy. Najważniejsze jest jednak, że mamy silne partnerstwo między samorządami, nadleśnictwami, organizacjami pozarządowymi oraz biznesem, którego celem jest wspólne i spójne zarządzanie regionem.

Co dały nam patronat UNESCO?

Przyjęcie regionu do Światowej Sieci Geoparków UNESCO byłoby szansą na rozwój turystyki. Marka UNESCO niesie za sobą prestiż, wielu zagranicznych gości chętnie odwiedza miejsca z listy Światowego Dziedzictwa UNESCO czy Sieci Geoparków UNESCO.

Kto miałby wziąć na siebie organizację i finansowanie przedsięwzięcia?

Naturalnym kandydatem na koordynatora geoparku zdaje się być Stowarzyszenie Kaczawskie. Jest to regionalna organizacja, od lat dbająca o promocję, oznakowanie regionu, wspierająca aktywność małych społeczności (Program Działaj Lokalnie), prowadząca centrum edukacyjne informujące o dziedzictwie geologicznym regionu (Sudecka Zagroda Edukacyjna) oraz sieć współpracy podmiotów branży turystycznej. Stowarzyszenie zatrudnia też czworo geologów i geografów, którzy zajmują się tworzeniem i prowadzeniem programów edukacyjnych oraz współpracuje ściśle z lokalnym samorządem i środowiskami naukowymi.

Jakie to byłyby koszty?

Koszty funkcjonowania geoparku to zarówno zadania bieżące, związane z administracją, promocją regionu, ubieganiem się o fundusze zewnętrzne, jak i koszty poszczególnych interwencji w terenie (dbałość o oznakowanie geopunktów, szlaków, ciekawych miejsc) czy koszty uczestnictwa w wydarzeniach organizowanych przez Światową Sieć Geoparków. Na tym etapie trudno oszacować ich dokładną wielkość, ale doświadczenia z innych geoparków pokazują, że może to być kwota rzędu 100 tys. złotych rocznie. Warto jednak pamiętać, że jako organizacja pozarządowa mamy możliwość ubiegania się o wsparcie naszych działań z różnorodnych funduszy zewnętrznych. Nie chcemy, aby te koszty zostały w całości zrzucone na barki samorządów, jednak ich pomoc na pewno będzie konieczna, chociażby zapewnienie wkładu własnego i wsparcia organizacyjnego.

Jakie byłyby korzyści płynące ze stworzenia Geoparku Kraina Wygasłych Wulkanów?

Korzyści płynące z przystąpienia regionu do Światowej Sieci Geoparków UNESCO to przede wszystkim podniesienie jego rozpoznawalności pośród turystów z województwa, kraju i świata. Przyczyni się to do zwiększonej liczby odwiedzin, co ciągnie za sobą potencjał powstania nowych miejsc noclegowych i gastronomicznych, zwiększone zainteresowanie zakupem produktu lokalnego. Na zwiększonym ruchu turystycznym skorzystać mogą też małe biznesy, takie jak piekarnie, sklepy, stacje benzynowe itp. Jednocześnie programy edukacyjne prowadzone przez geopark przyczynią się do wzrostu tożsamości regionalnej u mieszkańców, zwłaszcza tych najmłodszych. Młodzi ludzie, jeśli będą się

ze swoim regionem identyfikować i widzieć dla siebie szanse rozwoju w rodzinnych miejscowościach, być może rzadziej będą podejmować decyzję o wyjeździe do dużego miasta lub za granicę.

W czym jesteśmy atrakcyjniejsi jako region w porównaniu np. z Geoparkiem Łuk Mużakowa?

Trudno, aby geoparki „licytowały się” na atrakcyjność. Na pewno nasze dziedzictwo geologiczne jest bardziej „widoczne” w postaci neków wulkanicznych, odsłoneń skalnych itp., a krajobraz Gór i Pogórza Kaczawskiego dużo bardziej czytelny i atrakcyjny dla przyjezdnych. Jednak sukcesem geoparku jest nie tylko posiadanie unikatowego dziedzictwa geologicznego, ale również odpowiednie jego wyeksponowanie, opisanie, promowanie. Istotną jest również infrastruktura turystyczna, odpowiednie publikacje oraz ludzie, którzy umożliwią gościom odwiedzenie i zrozumienie regionu. Pod tym względem wiele nam nie brakuje, ale i jest ogromne pole do rozwoju. Nasze dotychczasowe doświadczenia, które wynieśliśmy z wizyt studyjnych do różnych geoparków w Europie są takie, że w Polsce nie mamy się czego wstydić!

Kiedy ta koncepcja mogłaby się urzeczywistnić?

Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, a ocena ewaluatorów będzie pozytywna, będziemy mogli cieszyć się członkostwem w Światowej Sieci Geoparków UNESCO od 2021 roku.

Na czym polega największa trudność realizacji zamierzenia?

Trudności tak naprawdę jest kilka. Od tych najbardziej prozaicznych, jak ograniczone finanse (która nowa inicjatywa jest wolna od tego problemu?) po te bardziej skomplikowane, jak administrowanie partnerstwem tak wielu różnych podmiotów. Nasz Geopark ma też dość okazałe rozmiary (ok. 1800 km²) - dbałość o dostępność i oznakowanie poszczególnych miejsc, czy prowadzenie działań na rzecz mieszkańców nie jest możliwe tylko z poziomu biura Geoparku. Tutaj również liczymy na wsparcie samorządów czy nadleśnictw, oczywiście w zakresie ich statutowych zadań i kompetencji.

Liczę na to, że za dwa lata będziemy mogli z dumą mówić o patronacie UNESCO nad naszym geoparkiem, czego życzę przede wszystkim koordynatorom przedsięwzięcia.

Iwona Pawłowska



Wizyta studyjna w Geoparku Łuk Mużakowa



Warsztaty identyfikacji

1.06.2019 r. w Zagrodzie odbył się Piknik Rodzinny z okazji Dnia Dziecka.

3.06.2019 r. w Starostwie Powiatowym w Złotoryi zaczął funkcjonować elektroniczny system kolejkowy.

6.06.2019 r. zorganizowano w Szkole Podstawowej nr 3 w Złotoryi VI polsko-niemieckie współzawodnictwo sportowe.

6.06.2019 r. w sali widowiskowej Złotoryjskiego Ośrodka Kultury i Rekreacji odbyła się uroczysta Powiatowa Gala Laureatów Konkursów Przedmiotowych.

8.06.2019 r. w Świerzawie odbył się charytatywny mecz dla czteroletniej Kornelki Iskry.

9.06.2019 r. podczas 43. Dni Świerzawy odbył się po raz pierwszy „Maraton MTB: Wśród lasów”.

10.06.2019 r. projekt „Z PSE tworzymy sekcję tenisa stołowego” Urzędu Gminy w Pielgrzymce został zwycięzcą pierwszej edycji konkursu dobrosąsiedzkiego „WzMOcnił swoje otoczenie”, organizowanego przez Polskie Sieci Elektroenergetyczne.

15.06.2019 r. w Świerzawie odbyły się Gminne Zawody Sportowo-Pożarnicze jednostek Ochotniczej Straży Pożarnej z terenu Gminy Świerzawa.

16.06.2019 r. w Złotoryjskim Ośrodku Kultury i Rekreacji odbył się koncert finałowy projektu „Złotoryja Tańczy 2019”.

19.06.2019 r. odbyły się uroczystości zakończenia roku szkolnego 2018/2019.

20.06.2019 r. na kortach Złotoryjskiego Towarzystwa Tenisowego rozegrano Turniej o Puchar Założycieli Złotoryjskiego Tenisa.

23.06.2019 r. uczestnicy XI edycji Otwartej Ligi Amatorów Wieloboju Sportowego rozegrali 6. konkurencję, którą była lekka atletyka.

24.06.2019 r. w Dobkowie zorganizowano spotkanie informacyjno-konsultacyjne p.n. „Dziedzictwo Krainy Wygasłych Wulkanów”.

25.06.2019 r. na polach Przedsiębiorstwa Rolnego „Łukaszów Sp. z o.o.” odbył się „Dzień Buraka Cukrowego”, cykliczny festyn organizowany przez koncert Südzucker Polska S.A. w współpracy z największymi producentami rolnymi w regionie.

23.06.2019 r. po mszy w Parafii św. Jadwigi Śląskiej w Złotoryi odbyła się akcja krwiodawstwa, podczas której zebrano 14 litrów krwi.

27.06.2019 r. Starosta Złotoryjski wygłosił swoje expose podczas X Sesji Rady Powiatu Złotoryjskiego.

28.06.2019 r. w swojej siedzibie Szkoła Tańca Nowoczesnego „WOW!” zakończyła uroczystość kolejny sezon.

30.06-5.07.2019 r. Złotoryjski Ośrodek Kultury i Rekreacji zorganizował zajęcia w ramach Interaktywnej Nieobozowej Akcji Letniej INAL 2019.

1.07.2019 r. rozpoczęła się nabór wniosków w ramach XVIII Edycji „Stypendia Pomostowe” dla absolwentów szkół ponadgimnazjalnych.

1.07.2019 r. w Złotoryjskim Ośrodku Kultury i Rekreacji odbyło się spotkanie autorskie z pisarzem Bernhardem Hauptmannem.

4.07.2019 r. Centralna Komisja Egzaminacyjna ogłosiła wyniki tegorocznych matur. W powiecie złotoryjskim do egzaminu przystąpiło łącznie 122 maturzystów, z czego 87 osób zdało maturę, dając tym samym wynik 71,3%.

Opracował: Jarosław Jańta



Owacje na stojąco. Beata i Bogdan Zajacowie w tańcu radości po premierze w Teatrze Szekspirowskim w Gdańsku

Być jak ocelot

Gdy Beata i Bogdan Zajacowie robią oprawę artystyczną na galach mistrzów sportu, wyglądają, jakby zesłali z czerwonego dywanu w Hollywood. Oboje o nienaganny, smukłych sylwetkach, które promują styl ich życia. Dodatkowo są szeroko wykształceni. Ona – była tancerka i artystka sztuki ruchu, coach, pedagog, scenarzystka, reżyserka widowisk sztuki ruchu; on – akrobata (trzykrotny mistrz świata w akrobatyce sportowej – czwórki męskie), lekarz, artysta. Ich ruchy pełne są niezwykłej gracji, piękna i miękkości dzikiego kota, takiego jak ocelot. Bo właśnie ta para prowadzi eksperymentalny teatr ruchu, w którym występują akrobaci. Fundacja prowadzona przez nich ma w nazwie właśnie słowo ocelot.

—Dlaczego ocelot?— opowiada prezes Fundacji Wspierania Kultury Ruchu Ocelot Bogdan Zajac. —Bo to dzięki kot, który ma

niezwykłą grację ruchów. Do tego nie boi się wysokości, bo umiejętnie chodzi po drzewach i świetnie pływa. Wszak akrobaci właśnie poruszają się z gracją i zwinnością kotów i nie boją się wysokości podczas wykonywania ewolucji powietrznych. Ocelot żyje głównie w Ameryce Południowej, jest dwukrotnie większy od kota domowego. Jest uważany za najpiękniejszego drapieżnika. Ponieważ interesuje się przyrodą, zależało mi na tym, żeby nazwa mojej fundacji kojarzyła się z kotem i aby brzmiała tak samo w każdym języku oraz to samo znaczyła.

Bogdan Zajac od jedenastego roku życia był akrobatą, lecz gdzieś w środku niego zawsze drzemał artysta, aktor. Jako uczeń złotoryjskiego liceum uwielbiał oglądać przedstawienia Teatru Pantomimy Henryka Tomaszewskiego. Oczarowały go i zafascynowały do tego stopnia, że wiedział, co będzie robił po skończeniu kariery sportowej. A ponieważ był akrobatą, to dlaczego nie włączyć do akrobatyki właśnie sztuki ruchu? I tak w umyśle Bogdana powoli

rodził się przyszły kształt jego późniejszej pracy – akrobatyczna sztuka ruchu.

A było to tak: w końcówce kariery sportowej Bogdana Zajaca w 1981 roku, trener sławnej złotoryjskiej czwórki akrobatów Zygmunt Biegaj znalazł się w Szwajcarii, a potem wyjechał do Kanady. Tam właśnie powstawał Cirque du Soleil*. Bogdan rok później zakończył karierę sportową. Właśnie ukończył studia medyczne we Wrocławiu, był młody i stwierdził, że dopiero teraz otwierają się przed nim nowe możliwości.

—Gdy się dowiedziałem, że Zygmunt jest w Kanadzie i pracuje w nowoczesnym cyrku, udało mi się skontaktować z nim i zapytałem o możliwość pracy. Odpowiedź brzmiała: „Przyjeżdżaj!”. No i pojechałem. W Cirque du Soleil pracowałem siedem lat. Mimo, że była to kanadyjska firma, pracowałem głównie w USA. Z tego 3 lata w Las Vegas.

—Ale przedtem przez 3 lata z moją „czwórką” pracowałem w Niemczech, też w cyrku. Ta praca sprawiała nam tyle radości! Właśnie wtedy przekonałem się, że akrobata w cyrku to już artysta.

Ta praca była zupełnie inna niż w sporcie, gdzie są sędziowie, sztywne reguły i przymus zdobywania punktów. Na scenie robisz to samo, to same ewolucje akrobatyczne, których nauczyłeś się przez lata, lecz zamiast sędziów jest publiczność, uczciwa w swoich ocenach. Gdy się podoba – są oklaski, jeśli nie – gwizdy. Tutaj nie ma wpadki, nie ma przegranej, bowiem najważniejszy jest sukces artystyczny. Do tego w pracy artysty dochodzi oświetlenie, odpowiednia muzyka, kostiumy i nagle zauważasz, że to prawdziwa sztuka. Było to zupełnie nowe, niezwykle doświadczenie – opowiada o początkach przyszły prezes Fundacji Ocelot.

Gdy w 1997 r. wrócił do Polski, wiedział, że w pracy twórczej będzie inspirował się znanym na świecie Cirque du Soleil, gdzie zdobywał doświadczenia artystyczne i organizacyjne. Był gotowy mentalnie i psychicznie na nowe wyzwania.

Fundację założył w 1999 r. Wówczas w Polsce nie było żadnych tego typu przedsięwzięć. Ocelot był prekursorem w dziedzinie akrobatycznego spektakli i tańca w powietrzu – np. taniec

z sześcianiem, w kole, na szarfach, pasach, linach, itp. Jednak aby przetrwać na rynku, niezbędne były środki finansowe, których w tym czasie w Polsce nie można było zdobyć. Wtedy nadarzyła się okazja zorganizowania spektaklu na terenie Berlina w ramach akcji marketingowej firmy Canon. Pomogli mu w tym niemieccy przyjaciele. Logistyką miał się zająć partner niemiecki, a polski akrobata stroną artystyczną. Na przygotowanie spektaklu miał

dwa miesiące. No i się zaczęło! Zostały rozpuszczone wici, że Złotoryja potrzebuje akrobatów do pracy w Niemczech. Nie było problemu w pozyskaniu chętnych. Zgłosiło się około dwudziestu osób, które zostały skoszarowane w schronisku młodzieżowym Zacisze w Złotoryi. Potem były próby, próby, próby... Wszak miał to być zgrany zespół.

W Berlinie pracowali przez 2 tygodnie, a występ był powtarzany kilka razy dziennie. Swoim show wzbudzili zachwyt międzynarodowej publiczności. To był niewątpliwie sukces artystyczny! No i potężny zastrzyk finansowy. Teraz, z gotówką w kieszeni, Bogdan Zajac mógł rozwinąć skrzydła.

Na początku przedstawienia Ocelota przypominały te z Cirque du Soleil. Przez pierwsze 10 lat dyrektorem artystycznym był Julian Hasiej, wywodzący się z zespołu pantomimy Henryka Tomaszewskiego. To on wyreżyserował dwie duże sztuki: *Spirit of Artistics* oraz *Dreams*. Spektakle były niezwykle, niepokojące i porażająco piękne. Szybko zyskali sławę w Polsce i w Europie. Nieco później miała przyjść stawa na innych kontynentach.

W 2006 r. do zespołu dołączyła Beata Bojańczyk z Krakowa, późniejsza żona Bogdana Zajaca. Przyglądała się działalności Ocelota i podziwiała pracę ówczesnego dyrektora artystycznego Juliana Hasieja, a gdy odszedł, w 2008 roku zajęła jego miejsce. W Ocelocie pracuje najpierw jako choreografka i artystka. Jedzie z zespołem do Dubaju, gdzie w spektaklu Janusza Józefowicza wcieli się w rolę zwiewnej baletnicy. Nowy Rok 2008 również wita w Dubaju 11 metrów nad ziemią, prezentując pierwszy raz w życiu balet powietrzny na kółku.

Beata Zajac opowiada o swojej pracy:

—Chciałam odnaleźć własną drogę artystyczną, fascynowały mnie legendy mórz południowych, Szekspir, Dickens. Prezes fundacji (prywatnie mój mąż Bogdan Zajac), zostawia mi w tym względzie całkowitą swobodę. Dla mnie w moich spektaklach liczą się piękne obrazy, przekaz i emocje, a o wiele mniej same akrobatyczne elementy techniczne. Aktor opowiada swoim ciałem historię i aby to robić, nie musi narażać życia.

Jednym z celów Fundacji Ocelot jest edukacja artystyczna, więc pani Beata jako pedagog przygotowuje młodych artystów do udziału w spektaklach sztuki ruchu. Na stronie internetowej zaprasza utalentowane ruchowo dzieci, młodzież oraz studentów na zajęcia akrobatyczno-artystyczne.

—Dziecko musi mieć to COŚ, mieć w sobie determinację. Musi chcieć to robić i być zaangażowane. Umiejętności przyjdą później, bowiem dostrzec i wydobyc potencjał dziecka to zadanie trenera – mówi pani Beata.

—Z czasem przychodzą takie cechy jak zwinność, gibkość, koordynacja ruchów. Przy lekkich skrzywieniach kręgosłupa zdiagnozowanych w młodym wieku ćwiczenia pomagają wzmocnić gorset mięśniowy i trzymają w ryzach kościec, który jeszcze się rozwija. Dzięki treningowi ogólnorozwojowemu prostują się skrzywione kręgosłupy i krzywe nóżki. Dzieci uczą się, jak dbać o swoje zdrowie, unikać urazów, bezpiecznie trenować. W Ocelocie zyskują piękną, harmonijną sylwetkę.

Z dzieci uczęszczających na zajęcia w wieku od 6 do 14 roku życia wybiera się te najbardziej utalentowane, z którymi realizuje się tzw. IPS, czyli Indywidualny Program Szkoleniowy. Szkoли się je w akrobatyce sportowej i powietrznej oraz na artystów sztuki ruchu. Najlepsi reprezentują fundację na festiwalach i zawodach. Wybrana grupa trenuje akrobatykę trzy razy w tygodniu pod okiem trenerów i choreografa. Poza tym dodatkowo w każdą sobotę spotyka się z panią Beatą i panem Bogdanem.

—W naszych spektaklach dzieci i młodzież odgrywają ważną rolę. Przykładem jest spektakl *Sen nocy letniej* zaprezentowany mieszkańcom Złotoryi. Ta utalentowana grupa ma również swój udział w spektaklu *Opowieść wigilijna*, prezentowanym w Teatrze Polskim we Wrocławiu przez cały zimowy sezon. To już są mali artyści. Dzieci pokazywały się tam w skokach na batucie i na ścieżce gimnastycznej, ale też w solowych występach na żyworolkach. Mają tam swoje konkretne role. A najmłodszy sześciolatek Mikołaj gra w tym przedstawieniu głównego bohatera Tima i w finale wystąpił na powietrznym hamaku – opowiada reżyserka i scenarzystka.

Z pierwszego etapu IPS wybiera się dzieci, które mają najlepsze wyniki w sprawdzianach kontrolnych. Najzdolniejsze otrzymują od fundacji stypendia na rozwój talentów sportowych i artystycznych. Zdobywają doświadczenie sceniczne i biorą czynny udział w projektach artystycznych Ocelota. Rodzice i stypendysta podpisują stosowną umowę, więc dzieci mają świadomość, że tym programem są objęte do 19 roku życia. A gdy już idą w artystyczny świat, fundacja pełni rolę ich agentów przez kolejne 4 lata.

W 2018 r. Ocelot przeznaczył na stypendia 33 305 złotych. Organizacja utrzymuje się z opłat dzieci za zajęcia akrobatyczno-artystyczne i sprzedaży widowisk sztuki ruchu Teatru Ocelot. Finansowo nikt ich nie wspomaga. Jest to jedna z niewielu instytucji kultury, która utrzymuje się sama, ewentualnie czasem pozyskuje sponsorów.

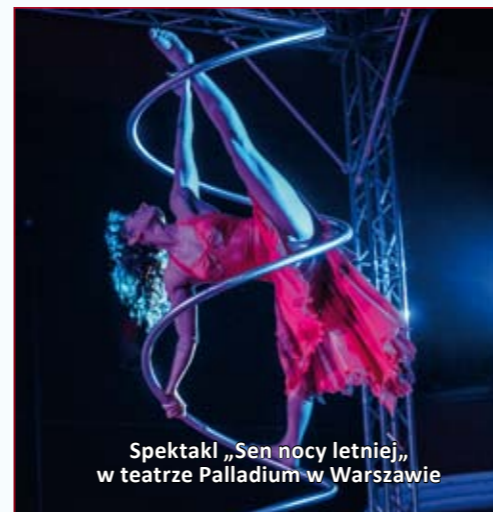
—Niektóre stypendia są znacznej wysokości i wtedy od kwot przekraczających 3800 zł w skali roku trzeba odprowadzać podatek – wyjaśnia prezes, lecz nie chce zdradzić ich wysokości. Sumy są znaczące.



Dziki kot ocelot



Utalentowani podopieczni fundacji w Teatrze Szekspirowskim w Gdańsku



Spektakl „Sen nocy letniej” w teatrze Palladium w Warszawie

Jednak stypendium można wydać wyłącznie na cele edukacyjne, zakup specjalistycznego sprzętu, czy wymarzony rekwizyt sceniczny. Z zakupów należy się rozliczać i przedstawiać faktury.

Dzieci kochają Ocelota. Bo jakże inaczej można wytłumaczyć to, że od 4 lub 6 roku życia dziecko przychodzi na zajęcia trzy razy w tygodniu, a jeśli trafi do IPS, to jeszcze zarywa każdą sobotę? Jak można wytłumaczyć to, że oprócz zajęć w Ocelocie muszą radzić sobie z nauką w szkole? Jak można wytłumaczyć to, że podczas występów w spektaklu *Cztery żywioły* na wrocławskiej Pergoli Ola Lasik czy Deszcz, czy Słońce, czy zimno, czy gorąco, grała swoją rolę tańcząc w wodzie? Przy tym dzieci mają pełną świadomość, że teraz pracują na swoją przyszłość. Wiedzą też, że może być ona fascynująca, przynosząca spełnienie ich marzeń.

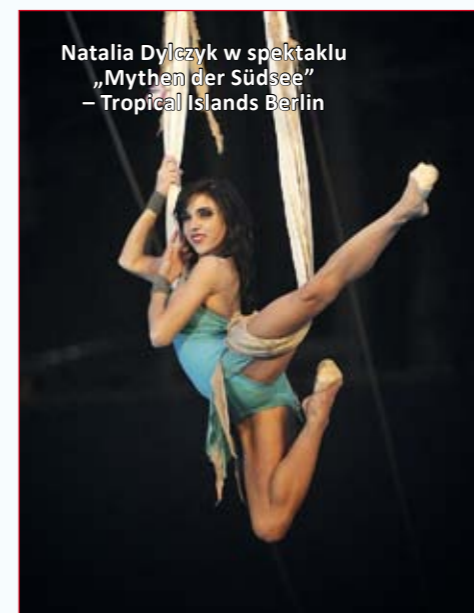
O takiej spektakularnej karierze opowiada Beata Zajac:

—Na casting do spektaklu Teatru Ocelot pt. *Preludium* zgłosiła się do nas Natalia Dylczyk z Krakowa. Dziewczynka o ślicznej buzi i okrągłych kształtach zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Wygrała ten casting i w 2008 r. wystąpiła podczas Międzynarodowego Festiwalu Kultury Ruchu *Ocelot Festival* we Wrocławiu, którego reżyserem był Janusz Józefowicz. Ja asystowałam mu podczas prób w Złotoryi i Wrocławiu, a Natalia była główną dziewczyną bohaterki spektaklu. Potem w klasie maturalnej, już jako nasza stypendystka, brała udział w projekcie artystycznym w Berlinie w spektaklu *Mythen der Südsee* moim reżyserii. Występowała przez cały rok i równolegle zaliczała klasę maturalną, aby w terminie przystąpić do matury. Dziś Natalia jest solistką w Cirque du Soleil w Las Vegas i pracuje w swoim wymarzonym zawodzie.

Państwo Beata i Bogdan Zajacowie stanowią niezwykle parę. Mają tę samą pasję, te same zainteresowania, więc nie dziwnego, że ich przedsięwzięcie musiało odnosić liczne sukcesy. Teatr Ocelot jeździ po świecie, dając przedstawienia w plenerze, w teatrach, na różnych eventach, występuje w telewizji, organizuje festiwale. W 2018 roku występowała w Paryżu, we Lwowie, w Batumi. A gdy wystawiali w sezonie zimowym 2017-2019 w Teatrze Polskim we Wrocławiu *Opowieść wigilijna*, to na widowni trudno było znaleźć miejsce.

W czasie 20-letniej działalności na arenie międzynarodowej Teatr Ocelot brał udział w wielu prestiżowych świątecznych projektach artystycznych na terenie Niemiec, Austrii oraz Hiszpanii. W 2014 r. sztuka ruchu Teatru Ocelot zachwyciła szwajcarską publiczność w międzynarodowym projekcie artystycznym *Swiss christmas* w Zurychu. Były międzynarodowe festiwale w Paryżu i w Budapeszcie. Jednym z większych osiągnięć są spektakle *Opowieść wigilijna* i *Sen nocy letniej* wyreżyserowane przez Beatę Zajac. No i berliński spektakl *Mythen der Südsee*, który był grany przez cały rok!

Za wybitne osiągnięcia artystyczno-akrobatyczne w Polsce i w Europie Fundacja Ocelot w 2017 roku została wyróżniona złotą odznaką honorową „Zasłużony dla Województwa Dolnośląskiego”, a Beata Zajac w 2019 roku została odznaczona przez Radę Ministrów odznaką honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej”.



Natalia Dylczyk w spektaklu „Mythen der Südsee” – Tropical Islands Berlin

Założyciele Ocelota są mieszkańcami Złotoryi, a prezes podkreśla, że jest u r o d z o n y m złotoryjaninem. Mimo to w Złotoryi dla Ocelota zabrakło miejsca, więc musieli go szukać gdzie indziej. Teraz mają swoją siedzibę w Legnicy, gdzie dzięki Gminie Legnica dzierżawią budynki po dawnej szkole rolniczej, mają salę w Lublinie, rozglądają się za salą we Wrocławiu. A jak dobrze pójdzie, to (zgodnie z obietnicą) prezydent Jeleniej Góry też im stosowną salę znajdzie.

—Chcemy zarażać innych naszą pasją i coś po sobie zostawić – mówi pani Beata, dyrektor artystyczny.

—Chcemy podbić świat i pokazywać nasze spektakle widzom w różnym wieku. Widzimy, jak jest to świetnie odbierane przez publiczność. Zwłaszcza że spektakli sztuki ruchu nie dotyczy bariera językowa – uzupełnia prezes Bogdan Zajac.

**Tekst: Agnieszka Młyńczak
Zdjęcia z Fundacji Ocelot**

* **Cirque du Soleil** (fr. Cyrk Słońca) – kanadyjska firma rozrywkowa założona przez byłych artystów ulicznych. Jest to cyrk współczesny, koncentruje się na artystach i nie ma w nim zwierząt, a przedstawienia mają swoją fabułę i temat. Obecnie występuje w 271 miastach na każdym kontynencie, a jego zyski przekraczają 810 milionów dolarów rocznie.

Zakwalifikowani do IPS

Aleksandra, 10 lat, z Legnicy – Zaczęłam ćwiczyć w Ocelocie, gdy skończyłam 4 lata. Mój tata, który jest sportowcem, zobaczył ogłoszenie i postanowił mnie zapisać. Patrzyłam na dziewczyny, które umiały ćwiczyć na szarfie i moim marzeniem było umieć to samo. Nie sądziłam wtedy, że to kiedykolwiek będzie możliwe. Cały czas od 4 roku życia przychodzę na zajęcia do Ocelota trzy razy w tygodniu. Moją specjalizacją są powietrzne ewolucje jak szarfy, kółka i skoki na ścieżce gimnastycznej. W szkole nie możemy pokazać naszych ćwiczeń np. na wuefie, bo pani nie pozwala. Ale mi się nie chwaliły. Poza tym nasze koleżanki i koledzy i tak nie docenią tego, bo wielu z nich jest otyłych i nie ma pojęcia, jaka jest radość z takich ćwiczeń. I pani wuefistka boi się, że coś może im się stać. A wuef jest nudny.

Julita, 14 lat, z Legnicy – Gdy miałam 6 lat, zdiagnozowano u mnie problemy z kręgosłupem. Jedna łopatka była wyżej. Musiałam chodzić w butach ortopedycznych, ale to nic nie pomagało, więc zalecono ćwiczenia gimnastyczne. Gdy skończyłam 9 lat, mama znalazła Ocelota, a moja koleżanka już chodziła tu na zajęcia i opowiadała, że jest fajnie. Po roku uczęszczania do Ocelota tak się mój kręgosłup poprawił, że już nie musiałam nosić butów ortopedycznych. Długo szukałam swojego przyrzędu i w końcu uznałam, że to hamak. Mimo, że ciężko tu pracujemy, to jednak ćwiczenia sprawiają, że się odrestowujemy. I to bardzo wciąga.

Małgorzata, 10 lat, z okolic Legnicy – O Ocelocie dowiedziałam się moja mama od mamy mojej koleżanki. W wieku 9 lat przyjechałam tutaj i w tej samej sali obok były przeprowadzane eliminacje, aby zapisać nas do odpowiedniej grupy. Znalazłam się w grupie niezaawansowanej, bo nic nie umiałam. Najbardziej lubię skoki na ścieżce i na batucie.

Karolina, 13 lat, z Legnicy – O Ocelocie dowiedziałam się od mojej koleżanki, która bez przerwy o tym opowiadała. Bardzo chciałam się tu dostać. Zostałam zapisana, gdy miałam 10 lat. Zresztą od dawna szukaliśmy dla mnie jakichś ćwiczeń, bo ja też miałam problemy z kręgosłupem. Na początku chodziłam na basen, ale to mi się nie podobało. Specjalizuję się w powietrznych przyrządach: szarfa albo koło.

Diana, 13 lat, z Legnicy – Do Ocelota chodzę od półtora roku. Od małego, gdy miałam 4 lata, interesowałam się gimnastyką i mama szukała dla mnie zajęć. Rodzice cieszą się, że znalazłam swoją pasję.

Roksana, 13 lat, z Legnicy – Od 8 roku życia przychodzę tu na zajęcia. Wcześniej chodziłam na basen, ale nie bardzo mi odpowiadał. Zaczęłam szukać w internecie innych zajęć. Gdy zobaczyłam na zdjęciach, jak ćwiczą, byłam zachwycona. W Ocelocie wszystko bardzo mi się podoba: ćwiczenia, skoki, rozciąganie. Powiedziałam w domu, że chcę nadal tu przychodzić. Specjalizuję się w skokach na ścieżce i na batucie.

Mikołaj, 6 lat, z Bieniowic – Jeszcze nie chodzę do szkoły, dopiero pójdę tam po wakacjach. Gdy miałam 4 lata, zaczęłam ćwiczyć w domu, uczyłem się gwiazdy i chodziłem na rękach. Ciocia postanowiła, że zapisze mnie do Ocelota. Chodzę tutaj od sześciu miesięcy. Podoba mi się tu wszystko, wszystkie ćwiczenia.



Widok na Ostrzycę

Akta Czarnego Janka część IV

Aresztowanie Jana Bogdziewicza i Zenona Szymanowskiego w nocnej obławie z 18 na 19 maja 1952 roku, musiało być wielkim świętem dla funkcjonariuszy MO i UB, ponieważ zakończyło przedłużający się okres braku wyników w tej sprawie. Ponadto można było zatrzymanym przypisać wiele czynów, których z powodów własnej nieudolności dotąd nie udało się wyjaśnić. Były wśród nich napady, których na pewno nie dokonali, jak również dwa zabójstwa, Juliana Czuryły z 12 sierpnia w Dłużcu (wówczas Marysin), oraz Komendanta Posterunku MO w Rzęszniku (wówczas Kraśnik) Władysława Jarzęckiego z 28 września, oba 1950 roku. Grób tego drugiego odnaleźć można na złotoryjskim cmentarzu, tuż obok innych „bochaterów” tamtej epoki Jaszcy i Bizonia. Przed wspomnianą obławą, w dniu 17 maja 1952 roku, w ręce UB oddał się Julian M. Jego pokuta prawdopodobnie polegała na wskazaniu miejsca pobytu Bogdziewicza, trzeba jednak pamiętać, że miał on pełne podstawy, by obawiać się o swoje życie. Wiedział doskonale, co czekało tych, którzy stanowili zagrożenie dla grupy. Sam przecież wykonał wyrok na Romanie Beciu.

Z milicyjnych raportów:

Bandyci w porze letniej mieszkali w kryjówkach leśnych, zmieniając je co jakiś czas. Zimą i w dni chłodne mieli swoje meliny we wsiach: Radymitowice, Nowa Wieś, Czaple, Bęczyn, na pograniczu powiatów Lwówek Śląski i Złotoryja. Pomocy udzielali im ludzie o podobnym pokroju, też bandyci, ale mieszkający w swoich domach i osoby zastraszone przez członków bandy.

Udowodniono również bandzie 11 nieudanych zamachów na działaczy partyjnych, funkcjonariuszy MO i UB oraz osoby cywilne. Ponadto banda dokonała 3 morderstw w tym: Z-cy Kom. Post. MO w Kraśniku p. Złotoryja, plut. Władysława Jarzęckiego, który broniąc posterunku, został śmiertelnie ranny. W listopadzie 1951 r. bandyci dokonali mordu na dwóch członkach Romanie Beciu i Krystynie Jastrzębskiej będącej w ósmym miesiącu ciąży – jako „niepewnych”, gdyż mając dość koczowniczego trybu życia zdradzali chęć wystąpienia z bandy. 12 VIII 1950 r. o godz. 22.30 zastrzelili Bogdziewicza przez okno sek. Z.S.L. Cyruła Juliana, który był u swego ojca zam. Głuszycy pow. Lwówek z karabinu małżer. W roku 1949 zastrzelili Komen. Poster. M.O. w Rzeszniku pow. Złotoryja zastrzelili go, gdyż stał na ganku.

Skoro pojawił się wątek próby przypisania zabójstw, to warto przytoczyć fragment zeznania na ten temat, złożonego przez Juliana M. Sądzą, że zeznanie to zostało co najmniej zasugerowane przez przesłuchujących go funkcjonariuszy.

Czarny Janek opowiadał mi, że on w 1949 r. zastrzelili przez okno przy koledze Czuryło – przewodniczącego spółdzielni produkcyjnej w Marysinie pow. Lwówek Śląski. Mówił, że dwóch za niego siedzieli po 7 miesięcy we Lwówku za to zabójstwo i ich zwolnili,

ponieważ oni jego nie wydali, pomimo że wszystko wiedzieli. Mówił, że oni podpisali się, że jego wydadzą mu, on do nich później zachodził i jego nie wydali. Opowiadał, że w 1949 r. zastrzelili komendanta posterunku M.O. w Rzęszniku pow. Złotoryja. Zastrzelili komendanta, gdy ten stał na ganku. Mówił, że w Rzęszniku zimą w 1950 r. obrabował spółdzielnię i zastrzelili człowieka, który chciał go uderzyć młotkiem. Mówił, że dokonał napadu na taksówkę, zabrał 350 tysięcy złotych. Napadu tego dokonał w 1949-1950 r. w Jeleniej Górze. Pieniądże te były na nową walutę.

O dziwo tę rzekomą historię porusza również Szymanowski, który, jak można było odnieść wrażenie, nie opuszczał Bogdziewicza na krok:

Mówił, że w Sokolowie w czasie napadu przestrzelili n/n osobnika w rękę. W rozmowie u Babińskiego Józefa w Białym Potoku Bogdziewicz wyraził się, że zastrzelili komendanta posterunku MO w Rzęszniku. Rozmowę tę wówczas słyszeł: ja, Babiński i Kejpas /jego imienia nie znam. O innych akcjach przeprowadzonych przez bandę nie wiem.

Innego zdania jest na szczęście informator UB o pseudonimie „Jaskółka”, wskazując innego sprawcę zabójstwa Juliana Czuryły:

W roku 1946 odbyła się zabawa w gromadzie Dłużec w świetlicy, w której zaczęła się awantura, gdzie to w czasie tej awantury Rzeszowski Jan wyciągnął broń „Nagan”. Ob. Kania był obecny na zabawie i odebrał w/w broń, lecz czy zdał, tego nie wiem. W rozmowie z ludźmi z tej gromady stwierdziłem, że Ob. Kania Józef mógł dokonać tego morderstwa, wykorzystując moment pokłócenia się Ubogiego Franciszka z Czuryło Julianem.

Jan Bogdziewicz, Zenon Szymanowski i Julian M. przebywali w celach wrocławskiego więzienia przy ulicy Kleczkowskiej. Odtąd jedynym członkiem grupy pozostającej na wolności był Bronisław Skowroński mieszkający w Pielgrzymce.

Jeden z członków grupy ukrywał się jeszcze ponad rok i dużo włożono pracy w celu ujęcia go. Pozorował utopienie się postrzelenie, a ostatecznie siedział z bronią w wykopanej norze w pobliżu swych zabudowań z obmarzniętym ciałem. Ujęty został 25.10.1953. Nieujęci zostali do końca członkowie bandy Leon Siedlecki i Władysław Karolewski. Rozesłane za w/w listy gorące nie dały pożądanego rezultatu.

Wspomniani wyżej Leon Siedlecki i Władysław Karolewski brali udział w napadach, ale w początkowym okresie działalności Czarnego Janka, jeszcze przed sformowaniem się zwartego oddziału. Bronisław Skowroński ukrywał się w gospodarstwie swojej matki w Pielgrzymce. Kapral Władysław Cienkier był jedną z osób, którym powierzono obserwację domostwa. **W notatce służbowej**

opatrzonej klauzulą „ściśle tajne” z 18 kwietnia 1953 raportuje on:

Ja kapr. Cienkier Władysław z posterunku M.O. w Pielgrzymce w dniu 18 IV. 53. w gromadzie Nowa Wieś Grodziska przeprowadziłem kontroli po linii sanitarnej, gdzie zemną był członek Komisji ob. Tomczak Stefan zamieszkały Pielgrzymka w czasie przeprowadzania kontroli udałem się na sprawdzenie do ob. Skowrońska Helena jako dom zakoleją podległy do sprawdzenia udałem się, sprawdzić.

Przy sprawdzeniu sprzętu pożarnego ustaliłem co następuje, mieszkanie było zamknięte ponadto wymieniona była zawiadomiona przez Skowroński Anny która zam. Nowa-Wieś jak również imię syna nieznanego w celu zachowania konspiracji pracy nie dowiadywałem się imienia tegoż chłopca. Skowroński Anny który ma wygląd na około 12 lat w czasie, sprawdzenia stanu sanitarnego gdzie domagała się komisja otwarcia drzwi, ponieważ wymieniona była widziana z sąsiedniego podwórka że jest w mieszkaniu, popełnionym czasie otworzyła gdzie klucze posiadała przy sobie będąc przestraszona nie wiadomo z jakich przyczyn. Z poglądów jestem pewny że była w obawie żeby ująć poszukiwanego Bronisława Skowrońskiego gdzie z jej poglądów jestem pewny że w tym dniu poszukiwany był w domu kontroli dokonywałem w obec niej obojętny że nie pomiarkowała się czy może być zainteresowany jej synem.

Ponadto sprawdziłem dobrych dokonywałem w pomieszczeniach jak również zaawarzylem że w pokoju luźno było nie zaścielone, okazynie wsadziłem rękę pod poduszkę i pod pierzynę miejsce było ciepłe gdzie zachodził podejrzenie że wymieniony był w mieszkaniu, jak również z poglądów Skowrońskiej Heleny i własnych spostrzeżeń, jestem pewny że wymieniony poszukiwany był w tem dniu w domu. Nie zabiegłem temu w celu przeprowadzenia rewizji, dlatego że miałem siły takiej jak byłaby potrzebna do przeprowadzenia rewizji i będąc w obawie w celu zachowania konspiracji pracy że my się nim nie trudnim aby go nieodstraszyć z gniazda w którym się konspiruje. Moje własne spostrzeżenia są wiarygodne jestem pewny że poszukiwany bandziór ukrył się przedemną w tych zabudowaniach swej matki.

Kapralowi Cienkierowi trzeba współczuć, że to nie jemu przypadło w udziale aresztowanie poszukiwanego. Można sobie tylko wyobrazić, jak podniosłoby to jego pozycję służbową. Ostatecznie Bronisław Skowroński został zatrzymany 25 października 1953 roku po rewizji w gospodarstwie matki. Kryjówkę urządził pod klepiskiem stodoły. Wbrew legendzie, która mówi o dramatycznej walce, zatrzymany nie stawiał oporu.

Tymczasem we wrocławskim więzieniu do celi Bogdziewicza przychodzi fryzjer, który najprawdopodobniej jest etatowym funkcjonariuszem UB, o czym Bogdziewicz nie wie. W raporcie pojawia się nazwisko więźnia Ostrowskiego, który prawdopodobnie był w jakiś sposób powiązany ze sprawą. **Fryzjer pisze swoje sprawozdania pod pseudonimem „Namiot”:** Oświadczam, że po spotkaniu z więźniem Bogdziewiczem, natomiast po zamknięciu się celi zwrócił się do mnie z pytaniem czy byłem golić więźnia w celi nr 28 na oddziale I.A. odpowiedziałem mu że byłem, następnie spytał mnie czy go znam. Odpowiedziałem mu że bardzo dobrze, gdyż pracowałem z nim w OP Wilków i wiem, że dokonał on ucieczki w grudniu 51 roku, gdyż i ja miałem za to ścięte włosy gdyż i z mojej grupy uciekli więźniowie z nim razem. Tu więźniem Bogdziewicz zamyślił się i dłuższy czas nic nie mówił. Dopiero gdy go zapytałem nad czym tak myśli, powiedział mi tak to jest jak jesteś komuś potrzebny, to i dobry a później dobrą masz zapłatę. Słuchaj mówił powiedz mu jak będziesz u niego że byłem go poznać przez wizytę, ale ja go nie znam, powiedz mu, że „Czamy był” bo on nazwiska mego nie zna, niech on mnie nie sypie, ale postaraj mu się to powiedzieć jak najprędzej gdyż to nie kto inny tylko on mnie wyspał. Powiedz mu wyraźnie, że „Czamy się go zaparł” i w ogóle go nie zna. Zwróciłem się z pytaniem czy może posądzają

go o udzielenie pomocy przy ucieczce ale więzień Bogdziewicz spojrział na mnie i powiedział że on nie wie o żadnej ucieczce co oni od niego chcą. Zwróciłem mu uwagę że może więzień Szymanowicz go zdradził przy tym użyłem kilka przekleństw i Bogdziewicz gorączkowo odpowiedział że nie, bo on o niczym nie wie i ponownie polecił mi żebym powiedział Ostrowskiemu że „Czamy go nie zna” Sądzą że teraz nie ma wątpliwości że więzień Bogdziewicz dopomógł w ucieczce, jest jednak trochę ostrożny i nie bardzo chce jasno mówić mam jednak nadzieję, że o ile otrzymam odpowiednie wskazówki od Ostrowskiego, to uda mi się z niego wyciągnąć szczegóły.

Zadanie: gdy spotkanie się z Bogdziewiczem prowadzić rozmowy że niemożliwie się skontaktować z Ostrowskim ponieważ podczas golenia go cały czas był oddziały, lecz nadmiercie, że następnym razem niewątpliwie się uda.

Z powyższego fragmentu można by wnioskować, że Bogdziewicz nie wiedział, kto go zadenuncjował. Tymczasem siłami MO i UB 16 września 1952 roku zorganizowano szeroką akcję zatrzymania osób podejrzanych o współpracę, bądź pomoc Bogdziewiczowi. **Sporządzony wcześniej milicyjny raport mówi o 13 członkach bandy i 48 pomocnikach. Poniżej przedstawiam treść planu akcji:**

Lwówek Śląski, dnia 16 IX 1952 r.

ŚCIŚLE TAJNE

Plan realizacji kontaktów bandy Bogdziewicza na terenie powiatu Lwówek Śląski i pow. Złotoryja

1. Realizacja rozpocznie się o godzinie 19-tej w dniu 16 września 1952 r.
2. Punkt zborny pracowników UB i MO będzie na posterunku Pielgrzymka pow. Złotoryja.
3. Z-ca szefa P.U.B.P. Lwówek Śląski chor. Wyrzsko Józef dopilnuje na miejscu sprawnego przeprowadzenia realizacji przeprowadzając krótką odprawę z pracownikami UB i MO na której omówić w jaki sposób będzie przeprowadzona realizacja...

1. Grupa realizuje

1. ZIELIŃSKI Tadeusz zam. Czaple, gm. Pielgrzymka, odpowiedzialny jest kom. MO Siemek, do pomocy Milczewski i Lizak.
2. KORDON Jan zam. Probuszczów gm. Rzęsznik, odpowiedzialny Purchla pracownik UB Złotoryja, do pomocy Sławczyk i Grzesik.
3. KOCUJ Tadeusz zam. Jerzmanice Zdrój gm. Pielgrzymka pow. Złotoryja, odpowiedzialny za zrealizowanie MYNARSKI, prac. UB Złotoryja
4. SKOP Stanisław zam. Jerzmanice Zdrój gm. Pielgrzymka, odpowiedzialny KOSTECKI, pracownik

5. BEĆ Bronisław zam. Jerzmanice Zdrój gm. Pielgrzymka, odpowiedzialny bogusz, pracownik ub, do pomocy JAGIEŁO i Grzesik
6. CZERNATOWICZ Kazimierz zam. Nowa wieś grodziska, odpowiedzialny Tomaszewski, pracownik ub, do pomocy Nowarczyk i Pokuzal
7. KIEREJ Jan zam. Szczęsowa nr 6 pow. Złotoryja, odpowiedzialny kaczor, pracownik ub, do pomocy Śliwiński i Chudzikiewicz
8. DRZYGAŁA Anna zam. Czaple nr 58 pow. Złotoryja, odpowiedzialny Kosz, pracownik UB, do pomocy Groch
9. POZNER Franciszek zam. Nowa wieś, odpowiedzialny Michalski, do pomocy Paradowski i Pinkiewicz
10. WOROBEJ Wiktor zam. Czaple nr 85 pow. Złotoryja, odpowiedzialny KOTALA, do pomocy Stopa i Suzer
11. RUDEK Bazylia zam. Lubiechowa gm. Świerzawa pow. Złotoryja, odpowiedzialny Wirchowski, pracownik ub, do pomocy Zbęk i Kulas, pracownicy MO Lwówek Śląski
12. PODZIAWOW Michał zam. Tarczek nr 9 pow. Lwówek Śląski, odpowiedzialny Niechajczyk Grzegorz, pracownik UB, do pomocy Dąbrowski i John
13. TORONEK Saturnin zam. Radomiłowice pow. Lwówek Śląski, odpowiedzialny Pietkiewicz, pracownik ub Lwówek Śląski, do pomocy Michłowski i Kornowski
14. PACEK Antoni ...
15. DANIELUK Józef zam. Nowa wieś, powiat Złotoryja, odpowiedzialny Stefańczyk Marian, do pomocy Moraczewski

Środki lokomocji:
2 wozy P.U.B.P. Lwówek Śląski, 1 ciężarówka i 1 osobowy
2 wozy osobowe z P.U.B.P. Złotoryja
1 wóz z W.U.B.P.
razem 5 samochodów

Wyżej wymienionych osadzi się w areszcie P.U.B.P. Lwówek Śląski

Akta śledztwa rozrastały nie tylko w wyniku działalności MO i UB, ale również w wyniku działań niestrudzonych informatorów, jak choćby tego o pseudonimie „Ptak”, obciążającego wymienioną w planie zatrzymania Annę Drzygałę:

Dot. Drzygałowej Anny obecnie we więzieniu. Donoszę że córka wymienionej imieniem Maria licząc lat około 17-cie to przychodzi do mego szwagra z którym to w potocznej rozmowie że żonę szwagra na temat swojej matki która przesiaduje karę. Wyraża

się zato że Czarny Janek wraz z Skowroński Bronisław przychodzili donich, zato zabrali jej matkę. W dalszej rozmowie mówi że Czarny Janek i Skowroński Bronisław przed aresztowaniem mojej matki dosyć często, lecz w jakiej sprawie tego nie powiedział. Oprócz tego że Drzygałowa Anna posiadała trzech synów nazwiskiem Sesiuk Kazimierz, będąc w czasie tym we Wojsku, obecnie tam. także i pracuje w lesie, następnych dwóch to jeden Drzygała Ignac i Władysław liczący lat 18-21. Natomiast z nich takim słownym i mądrał jest Ignac, jak wynika ze słów Mari to Ignac i Władysław również musieli wiedzieć o Czarnym Janku i Skowrońskim Bronisławie.

Jeśli chodzi o ich kontakty, to zaowarzyłem że często chodzi do Wierobieja Wiktora który również przebywa we więzieniu i Borysiewicz.

Informator – funkcjonariusz „Namiot”, który tak dobrze wcielił się w rolę zwykłego więźnia, że Bogdziewicz się z nim zaprzyjaźnił, jest autorem ostatniego donosu:

Następnie mówił, że zarzucają mu 16 zabójstw, do czego on się nie przyznaje. Na zapytanie moje, czy w rzeczywistości miało to miejsce, dał odpowiedź niejasną. Wywnioskowałem jednak, że tak jest to prawda, gdyż powiedział mi:

– *Wiesz, jak jest. Mam prawo bronić się i dlatego mówię, jak mi wygodnie.*

Kilkakrotnie podkreślał to, że nie działał z myślą przewrotu ustroju w Polsce, lecz dla własnego interesu. Pytał się też, czy zamknęli tu Wawra albo Dudka, których on zna z wolności i wie, że są aresztowani. Mówił, że chciał ich odbić z aresztu, ale że było to niemożliwe, więc zaniechał tego. Pytał się mnie natarczywie, czy go amnestia obejmie, gdyż śmierci bardzo się cieszył i już mi obiecuje, że gdy kiedyś spotkamy się na wolności, to dopiero napijemy się. Teraz chce mi ofiarować zegarek złoty, który ma w depozycie, gdyż widzę – mówił – że jesteś swój chłop. Ja powiedziałem mu, że też byłem w bandzie, że też się ukrywałem, i znam życie, jakie on prowadził. To bardzo go ucieszyło i jeszcze raz wspominał o zegarku.

Śmierć, której tak bardzo bał się Bogdziewicz, dosięgła go 15 czerwca 1953 roku, kiedy to na dziedzińcu wrocławskiego więzienia przy ulicy Kleczkowskiej wykonano wyrok śmierci metodą katyńską – strzałem w tył głowy. Informator „Namiot” nie doczekał się zegarka. Ponieważ nikt nie zgłosił się po rzeczy przechowywane w depozycie, stały się one własnością skarbu państwa.

Andrzej Wojciechowski

Złotoryjscy sygnatariusze Unii Lubelskiej z 1569 r.

W tym roku w lipcu obchodziliśmy 450. rocznicę zawarcia unii realnej pomiędzy Królestwem Polskim i Wielkim Księstwem Litewskim. W całym kraju odbyły się wystawy, konferencje, spotkania... W ten sposób uczczono wydarzenie z 1 lipca 1569 r. na sejmie walnym w Lublinie, podczas którego powołano wspólne państwo Polaków i Litwinów - Rzeczpospolitą Obojga Narodów (1569-1795).

Akt Unii Lubelskiej podpisali i potwierdzili swoimi pieczęciami najznakomitsi dygnitarze, senatorowie, posłowie, kardynałowie, biskupi i szlachta. Do naszych czasów zachował się jedynie egzemplarz litewski, potwierdzony pieczęciami senatorów i posłów Wielkiego Księstwa Litewskiego, przeznaczony dla stanów Koronnych (Polski). Dokument pod którym podpisali się posłowie reprezentujący Polskę i przeznaczony dla strony litewskiej, nie przetrwał w oryginale.

Przynajmniej dwie osoby z podpisujących Unię Lubelską miały w swoich zyciorysach związki ze Złotoryją. Wśród 78 przywieszonych pieczęci możemy odnieść odcisk herbu Korczak z inicjałami B. D., czyli **Bazylego Drzewińskiego (ok. 1532-1597)** - sekretarza królewskiego, który jako 16-latek przybył do Złotoryji latem 1549 r. z Uniwersytetu Jagiellońskiego i studiował w miejscowym Gimnazjum Humanistycznym przez pięć lat (1549-1554). Natomiast analiza podpisów wszystkich sygnatariuszy unii pozwala namierzyć **Rafała Leszczyńskiego (1526-1592)** - wojewodę brzesko-kujawskiego, marszałka Sejmu i posła, który w wieku 12 lat też trafił do Złotoryji i przez 5 lat (1538-1543) studiował w Gimnazjum Humanistycznym Valentina Trozendorfa.

Damian Komada



Pieczęć Bazylego Drzewińskiego na pergaminowym Akcie Unii Lubelskiej z 1 lipca 1569 r.

MIESZKAŃCOM ZIEMI ZŁOTORYJSKIEJ DO SZTAMBUCHA, czyli o losach kolumn

Świadectwa historii

Istnieje naturalna skłonność człowieka do upamiętniania siebie, swoich działań i dokonar, ponieważ z reguły uznajemy je za pozytywne. Przyjmują one różne formy - tablic, pomników osób lub symboli itp.

Z tysiącletniej (pisanej) historii Śląska, dłuższy okres przypada na przynależność tej ziemi nie do Państwa Polskiego (w różnych formach ustrojowych), lecz do innych państw: Państwa Wielkomorawskiego, Czech, Habsburgów, Prus, Niemiec (w tym do III Rzeszy). Takie były historyczne losy tej ziemi i nikt, i nic nie jest w stanie tego zmienić. I nie kreowali tych losów mieszkańcy tej ziemi – granice w różne strony „przelatywały” nad nimi, a oni pozostawali. I przez ok. 700 lat (30 pokoleń) lud śląski zachował (szczególnie na Śląsku Opolskim i Katowickim) swoją tożsamość, wyrażającą się w wierze, obyczajach, języku. Ale ten fenomen w historii Polski jest niezbyt chętnie zauważany. Te części Śląska zasadnie jest nazywać Kresami Zachodnimi, bo tu najdalej na zachód sięgał język polski. Ten stan rzeczy mogli zmienić niektórzy włodarze Polski, gdyby Śląskowi poświęcili (w stosownym czasie) więcej należytej uwagi. Pamiętek z tych okresów na ziemi złotoryjskiej zachowało się niemało. Po drugiej wojnie przesiedleńcy (wypędzeni) z Kresów Wschodnich w ramach „osuwania krajobrazu” wiele z nich zlikwidowali; wiele z nich słusznie, inne z niewiedzy (np. pomnik V. Trozendorfa – wybitnego pedagoga śląskiego ze Złotoryi czy popiersie F.L. Jahna – prekursora europejskiej gimnastyki). Są też kulturowo wspólne dla wszystkich nacji (i państw), które ocalały; przetrwały nawet okropności wojny, kiedy u wielu wszystko traciło wartość.

Kolumny chwały

Wielką postacią dla społeczeństwa sporej części Europy była, i jest, święta Jadwiga Śląska rodem z Bawarii. W powiecie Złotoryjskim są cztery świątynie, którym patronuje ta postać (Złotoryja, Sokołowice, Prusice, Wysocko) oraz trzy źródła tej świętej (Rokitnica, Rzymówka, Jerzmanice-Zdrój). W Złotoryi

mamy pierwszą w Polsce i najbogatszą w Polsce i Europie Ścieżkę św. Jadwigi (Złotoryja – Rokitnica). Zawsze uważałem (wyniosłem to z domu), że święci nie mają narodowości – najczęściej mówiło się o ich pochodzeniu (np. z Padwy). Myliłem się jednak. W trakcie budowania Ścieżki, szukając sprzymierzeńców, przekazałem tę informację szczerze wierzącemu, kulturalnemu i wykształconemu koledze, a ten zapytał: „A co Jadwiga i Jagiełło mają wspólne ze Złotoryją?”. Wyjaśniłem, że chodzi o Jadwigę Śląską, żonę Henryka Brodatego. „A! To ta Niemka!” – dodał olśniony (choć to olśnienie nie było pełne, bo w owym czasie pojęcie narodowości, przynajmniej w dzisiejszym rozumieniu, nie istniało – było się raczej poddanym jakiegoś panującego).

A kiedy już ta Ścieżka powstała (2001) i ubogacił ją posadzeniem wzdłuż jej trasy „drzewek przyjaźni i pojednania” (ze Złotoryi, Bawarii, Czech i Trzebnicy) i kiedy dodatkowo czarownego buka z Bawarii posadziliśmy obok kościoła w Rokitnicy (A. Borys, D. Sosa, A. Michler, ks. K. Białek) i takie samo drzewko posadziliśmy w Sokołowcu, zapraszając do udziału ówczesnego księdza (nie był to ks. M. Stępień), ten odmówił: „Nie będę zakorzeniał niemieczyzny” – nikt z nas nie zapytał, czy wielebny raczył zażartować.

Od 1522 r. ziemia złotoryjska pod względem wyznaniowym zaczęła być całkowicie ewangelicka (z wyjątkiem Dobkowa i Wysocka). Jednak pamiętek katolickiego kultu religijnego, które zostały w otwartej przestrzeni, nie niszczone. Dzięki temu, np. przy wjeździe do Rokitnicy, jeszcze do XIX w. zachowały się resztki kapliczki, którą ówczesny pastor z Rokitnicy (Hürsemünzel) słusznie uznał za element dawnej Drogi św. Jadwigi prowadzącej do Złotoryi. Ten zapis pastora stał się dla mnie (i kolegów z TMZZ) inspiracją do budowy naszej Ścieżki.

W Rokitnicy, Rzymówce i Jerzmanicach-Zdroju istniejące tam źródła miejscowa ludność (jeszcze wtedy katolicka) nazwała imieniem Jadwigi, gdyż żona Brodatego jako

skromna osoba odwiedzająca poddanych odbywała piesze wędrówki w okolicach piastowskiego zamku w Rokitnicy. Dla ich upamiętnienia powstała ta Droga, o której wspomina rokitnicki pastor – powstała najpewniej po śmierci Jadwigi (1243), ale przed przyjęciem protestantyzmu (1522). Przy źródle w Jerzmanicach-Zdroju i Rzymówce, powstały obiekty architektoniczne (w II poł. XIX), które nie noszą jednak imienia Jadwigi. Wyjaśnienie jest proste i oczywiste: protestanci nie uznają kultu świętych. Oficjalnie były to więc źródła skalne (Felsenquelle), ale w tradycji ustnej przetrwały także czasy protestantyzmu jako „Źródła św. Jadwigi”. Nie wyczytałem tego z żadnych ksiąg - znam to z doświadczenia. Na początku lat 90. XX w., kiedy byli mieszkańcy mogli już odwiedzać swój Heimat, była mieszkanka Jerzmanic-Zdroju, Ruth Hankowiak, a w Rokitnicy Charlotte Wieloch, obydwie protestantki zaprowadziły mnie nie do „Felsenquelle”, lecz do „Hedwigsquelle”. Byłoby dobrze, o tym pamiętać.

Kolumny wstydu w Jerzmanicach-Zdroju

W Rokitnicy u podnóża zamku i Kaplicy św. Jadwigi ze źródła popijały krasule oraz rumaki ze stadniny, aż w roku 2014 pięknie ujarzmił go i okraślił obudową nadleśniczy Jacek Kramarz (wcześniej czyniłem to po amatorsku co roku ze swoimi wnukami – Krzesimirem i Michałem).

W Rzymówce zabytek trwał nienaruszony, a w roku 2005 z okazji tysiąclecia wsi - wspólnymi siłami wsi, Urzędu Gminy oraz TMZZ obiekt odnowiono i uzupełniono o nowe istotne elementy.

Zawstydzający i poniżający szok przeżyliśmy w roku 1995, kiedy do Złotoryi przyjechał Goldberger Ulrich Kabel (podał TMZZ mnóstwo cennych widokówek) i oświadczył, że w Jerzmanicach-Zdroju przy Felsenquelle (pokazał zdjęcie) brakuje kolumn podtrzymujących całą konstrukcję. Była to ordynarna kradzież z pewnością niebiednego osobnika, który swój dom zaprzagnął dodatkowo przyozdobić nowobogackimi kolumnami („normalny” właściciel raczej tego nie czyni). Wstyd przeżyliśmy podwójny: narodowościowo i wyznaniowo; oto obywatel Niemiec, ewangelik, pokazuje nam, jak zbezczeszczono miejsce poświęcone katolickiej świętej w tak katolickim kraju. A złodziej nabywca wyłożył „kasę” na

benzynę lub transport i jakiś „napiwek” dla osoby pomagającej – naprowadzającej (pewnie ktoś taki musiał być - miejscowy?!). Materialnie złodziejowi już się opłaciło (miał „sumienie”? Wstyd przypadł wsi i tym, którzy społecznie tym się interesowali.

TMZZ zabrało się energicznie do usuwania tej wstydlivej plamy, ponieważ w 1996 roku wybierał się do Złotoryi prezes FWP, Herbert Helmrich, z którym Złotoryja (UM, LO, TMZZ) szycowała się do pierwszych poważnych rozmów, licząc na bardzo konkretną pomoc ze strony Fundacji. Przystąpiliśmy do działań bez konsultacji z konserwatorem zabytków, mając mocne przeświadczenie, że musimy działać szybko, że coś ratujemy, że niczego nie popuszczamy. Konsultacje z konserwatorem mogłyby się toczyć w „nieskończoność”, a jego zalecenia finansowo mogłyby się okazać niewykonalne (tak było w przypadku wieży ciśnienia przy LO).

Projekty kolumn wykonał bezpłatnie Józef Banaszek, materiał nieodpłatnie przekazała firma „Kamieniarz” z Czapl; kolumny nieodpłatnie wykonał Andrzej Zatwardnicki z Nowej Wsi Grodzkiej, do montażu fachowych pracowników wyznaczył dyrektor Zakładu Poprawczego Jan Wolski. W połowie 1996 r. źródło było jak nowe!

Ale takie ładne nowe kolumny przydadzą się w każdym czasie, oszczędzać także trzeba. Nie można więc wykluczyć, że złodziej z roku 1995 po 20 latach buduje dom swojemu dziecku – a ono także chce mieć kolumny. A w Jerzmanicach-Zdroju takie stoją – tylko brać! Podjechał więc w uzgodnionym (z kim?) czasie z odpowiednim sprzętem, zabrał co „jego” i odjechał – nie nękanym przez nikogo. Czy to zmyślenie? Niestety nie. Sołtys Edward Janiec rozpytywał w tej sprawie mieszkańców: „Czy czegoś nie widział, nie zauważył?” Jeden odpowiedział: tak widział, ale bał się powiadomić policję... Kto chce niech w to wierzy. Dodać należy, że ten nowy (nowy stary) złodziej z roku 2017 był bardziej gospodarny i skrupulatny: zabrał, czyli ukradł także takie elementy, których nie zabrał w roku 1995. Tym samym zostawił tylko wiszący portal – czy dziś jeszcze się mu na nic nie przydał?

Załatwianiem spraw związanych z usuwaniem skutków tej kolejnej kradzieży znowu zajęło się TMZZ (czynimy to bez oporu, ale czy to tak powinno wyglądać?).

Nie dysponujemy jednak środkami, ażeby sami do skutecznie załatwić. Znowu pisanie pism, „zebrana”. Na szczęście firma „Kamieniarz” w Czaplach z kierownikiem Piotrem Gajurem nadal dobrze prosperuje i jest przychylna (po raz drugi nieodpłatnie przekazała surowiec). Andrzej Zatwardnicki, szef firmy „ZatStone” z Nowej Wsi Grodzkiej, udoskonalił swój zakład i pięknie wykonał kolumny i inne elementy, a dodatkowo nadzorował i koordynował montaż. Zakład Poprawczy ma chyba szczęście do dobrych dyrektorów – 20 lat temu, kiedy usuwaliśmy skutki pierwszej kradzieży, ówczesny dyrektor Jan Wolski desygnował swoich pracowników i osobiście uczestniczył w pracach; dzisiaj także w tym uczestniczył, lecz jako społecznik TMZZ, ale jego następcą – Artur Górny – nie miał wstydliwości, czy włączyć się jako ZP oraz osobiście do pomocy. Do pracy zostali włączeni także dwaj wychowankowie – Konrad i Łukasz, którzy pod kierunkiem nauczyciela zawodu Andrzeja Samaszko wykonali z piaskowca napis („Źródło św. Jadwigi”), a także brali udział w montażu. Nie wiem, czy pisząc szczerze te słowa, nie czynię gestu „pocałunku śmierci” wobec dyrektora A. Górnego. Wierzę, że tak nie będzie; gdyż trzeba jeszcze dodać, że ZP wykonał kosze na śmieci oraz udostępnił sprzęt (widłak) do montażu. Ponadto Tadeusz Owczarek (bistro „Pod Ratuszem”) wypożyczył nieodpłatnie podpory stropowe, bez których byłoby bardzo trudno prowadzić prace remontowo-montażowe. Projekt kolumn i innych elementów z piaskowca wykonał - jak przed 20 laty – Józef Banaszek (społecznie). Najwięcej pracy i czasu poświęcił na organizację i koordynację całości (a także fizyczne czyszczenie starych elementów obiektu) – Bogusław Cetera. Jako jego pożyteczni i użyteczni satelici działali: Jan Wolski, Alfred Michler i sołtys Edward Janiec. Przewinięto się w tym artykule wiele osób, ale prawdopodobnie nie ruszylibyśmy z miejsca, gdyby nasze pierwsze zebrane pismo do Urzędu Gminy pozostało bez echa. Trochę sprawy wykonawcze się przeciągnęły i pierwszą pozytywną dekretną wójt Marii Leśnej, w kwietniu br. musiał ponownie jej następcą Jan Tymczyszyn. Ale i tak drugą połowę rachunku musiało wziąć na siebie TMZZ – czyli kogoś jeszcze przekonać (taki los!).

I znowu stanęły kolumny jak nowe! Czy i one będą stanowiły łatwy zysk, łatwą zdobycz dla złodzieja nowej generacji? A wstyd dla nas, jak systematyczne niszczenie elementów Ścieżki św. Jadwigi. Dobrze byłoby się nad tym zastanowić. Czy może być gorzej? Może!

Kolumna hańby (na cmentarzu)

Prawdopodobnie w połowie XIX w. na złotoryjskim cmentarzu mieszkańcy (Goldbergerzy) tuż za Kościołem św. Mikołaja postawili wspianą kolumnę. Główne jej elementy były dla każdego tak krzyżące czytelne, iż niepotrzebne były jakiegokolwiek napisy. Bez słów przemawiały do nas kolejno trzy twarze: dziecka, młodego człowieka i dojrzałej osoby oraz ludzka czaszka (jako czwarty element). Artysta rzeźbiarz zastosował tu język wizualny. To taki swojego rodzaju złotoryjski Światowid (Świętowid), spoglądający na cztery strony świata. Ale i on, mający widzieć wszystko, nie dostrzegł złodzieja; nie był to jednak zwykły sprytny złodziej, lecz hiena cmentarna. Ukradł coś, co stoi na poświęconej ziemi, co należy do cmentarza lub czyjegobrobu – to może zrobić osobnik (?) o wyjątkowo ohydnej, paskudnej konstrukcji psychicznej lub pozbawiony jej zupełnie. Jak taka kreatura mogła w ogóle przekroczyć cmentarną bramę i „wejść w ciszę” (niemiecki napis na bramie: Eingang zur Ruhe)?

A jednak taki przypadek się zdarzył; w roku 1995 Światowid został skradziony (zwracam uwagę, że stało się to niemal w tym samym czasie, co kradzież kolumn w Jerzmanicach-Zdroju). Nikt (skutecznie) nie podejmował się dotąd jego odbudowy. Więc dziś deklaruję, że będę gorąco nakłaniał kolegów ze stowarzyszenia, ażeby TMZZ w ramach nowego funduszu obywatelskiego zgłosiło w Urzędzie Gminy i Urzędzie Miasta wniosek o sięgnięcie do tych zasobów w celu odrestaurowania Światowida. TMZZ znajdzie wykonawców.

AM/KR/UG
Alfred Michler
05 VI 2019

Fot. zbiory J. Banaszek

PS: O zniszczeniach wzdłuż Ścieżki oraz kradzieżach kolumn jadvizańskich informowaliśmy odpowiednie służby. Prosimy również duchownych o zwrócenie się do wiernych z apelem.



Źródło w l. 1881 – 1995



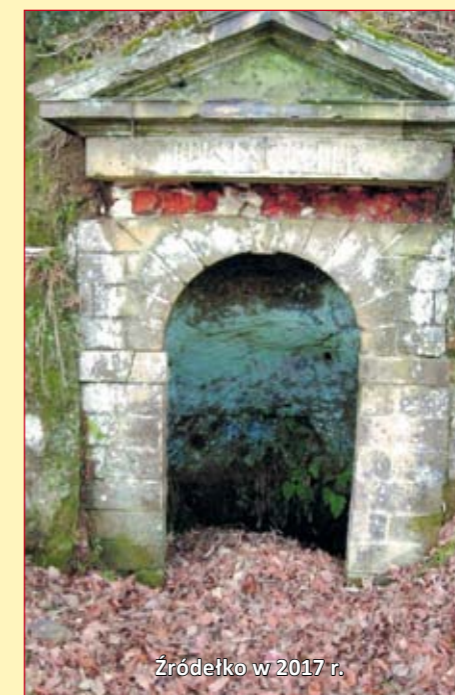
Źródło w 1995 r.



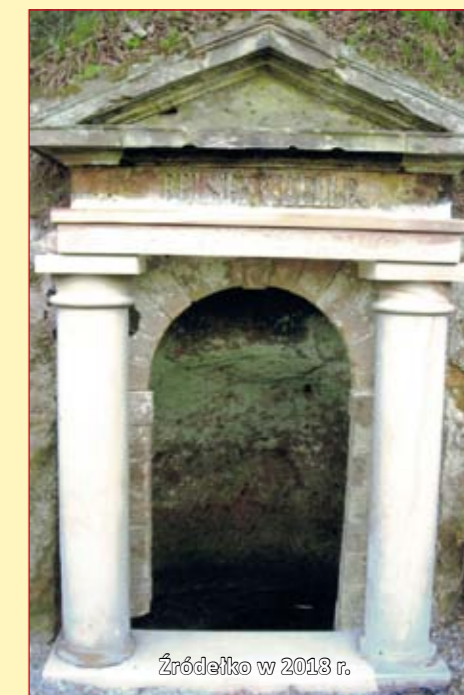
Źródło w 1996 r.



Źródło w 1996 r.



Źródło w 2017 r.



Źródło w 2018 r.



Cokół po pomniku Valentina Trozendorfa



Cokół po pomniku Wilhelma I

Złotoryjskie pomniki cz. 2

Dziedzictwo i pierwsze pomysły (1945-1961)

Jak już pisaliśmy (Echo kwiecień 2019), wojnę przetrwało kilka pomników niemieckich, w całości lub fragmentach. Chodzi o pomnik Valentina Trozendorfa na pl. Zwycięzców (od 1990 r. pl. Niepodległości), pomnik Ludwika Jahna przy ul. S. Staszica, pomnik ku czci bohaterów I wojny i pamiątkową kolumnę na Górcie Mieszczańskiej (nazywaną zaraz po wojnie Parkiem Piastów), pomnik na Wilczej Górze, pomnik związany z I wojną przy ul. Grunwaldzkiej (nazwa od 1951?, wcześniej Franklina Roosevelta 1945-1948?) oraz pomniejszy obelisk pod Wilkołakiem z 1913 r. Trzeba było coś zrobić także z cokół po pomniku Wilhelma I na pl. na ówczesnym pl. Zygmunta (od 1990 r. pl. Lotników Polskich, wcześniej pl. Zygmunta 1945-1947, Ignacego Daszyńskiego 1947-1952, Nikosa Belojannisa 1952-1968, gen. Karola Świerczewskiego 1968-1990).

Najpierw pozabawiano stare pomniki pamiątkowych tablic, inskrypcji, orłów lub innych metalowych emblematów. Zniknęły one m.in. z pomnika Trozendorfa, L. Jahna, w Parku Piastów i na Wilczej Górze. Na razie pozostały kamienne konstrukcje, niekiedy pokaźnych rozmiarów.

Nie budziły na szczęście kontrowersji: fontanny Górników i Delfina w Rynku (nazwa od 1990, wcześniej pl. Wolności 1945-1953, 1956-1990 i pl. Józefa Stalina 1953-1956), kapliczka słupowa i pomnik Jana Nepomucena przy kościele św. Jadwigi oraz kamienna kolumna przy kościele św. Mikołaja. Nie uległy więc dewastacji lub całkowitemu zniszczeniu.

Pierwszy powojenny „nowy” pomnik powstał około 1950 r. Upamiętniał żołnierzy radzieckich i stanął na terenie ich cmentarza (jego dzieje opiszemy osobno).

We wrześniu 1954 r., podczas sesji MRN, po raz pierwszy pojawiła się myśl ufundowania pierwszego nowego polskiego pomnika. Radny Franciszek Ligocki przekonywał, by na jego budowę opodatkować napoje alkoholowe. Sekretarz Prezydium Mieczysław Świerczek zgłosił postulat, aby „zwołać posiedzenie Prezydium MRN poświęcone wyłącznie budowie i powołaniu Komitetu budowy pomnika w Złotoryi i do tego czasu odłożyć wniosek radnego Ligockiego”. 15 września tego samego roku Prezydium MRN podjęło uchwałę w sprawie powołania Komitetu Budowy Pomnika

„Wdzięczność” w Złotoryi. W jego skład weszli: Franciszek Biały, zastępca Przewodniczącego Prezydium, Stanisław Wilk, dyrektor MPGK, Edward Drzewiecki ze Związku Przyjaciół Żołnierza, Żelazny ze Związku Młodzieży Polskiej, Jan Rukawiczka, dyrektor ZZWF, Jan Mazur, dyrektor ZG „Lena”, Wacław Głowa, dyrektor ZG „Nowy Kościół” oraz Regina Bartoszczyk, sekretarz KM PZPR. Komitet miał sporządzić harmonogram pracy oraz ustalić lokalizację pomnika a Prezydium MRN wystąpić z wnioskiem o powołanie Komitetu Budowy Pomnika na szczeblu powiatowym, w skład którego weszłyby członkowie komitetu miejskiego. Skończyło się jedynie na planach, z niewiadomych przyczyn „Wdzięczność” nie powstała (choć sama idea zmaterializowała się, jak zobaczymy, pod postacią Pomnika Wojska Polskiego w 1968 r.).

W styczniu 1961 r. Komisja Oświaty i Kultury Miejskiej Rady Narodowej na jednym ze swoich posiedzeń przypomniała postulat, by „wykorzystać istniejące na terenie miasta cokół oraz zaewidencjonować znajdujące się pomniki poniemieckie i zająć w stosunku do nich stanowisko”. Przedyskutowała także sprawę „istniejących cokół, a mianowicie przy pl. Belojanisa, przy ul. Grunwaldzkiej i w Parku Piastów. [...] Ze względu na wysoki koszt budowy nowych pomników na istniejących cokółach i ze względu na to, że cokół nie przedstawiają wartości zabytkowej, komisja stawia wniosek na rozbórkę cokół i uporządkowanie placów”. Postanowiono także, że w tej sprawie Prezydium MRN porozumie się z Prezydium Powiatowej RN w obecności przedstawiciela Wojewódzkiej RN. W maju 1961 r. ta sama komisja obliczyła, że mamy około 9-ciu niemieckich cokół. Niektóre należałoby wyburzyć, a na pozostałe rozpisac konkurs oraz przekazać sprawę plastynom”. W październiku 1961 r. Prezydium MRN podjęło decyzję, by „przeanalizować istniejące niemieckie pomniki, zbędne usunąć, a pozostałe wykorzystać w odpowiedni sposób. Na pl. Zwycięzców wskazanym by było zlokalizować pomnik zwycięstwa”. Pomnik „Zwycięstwa” był zapewne drugim tego typu pomysłem złotoryjskich władz, niezrealizowanym podobnie jak pomnik „Wdzięczność” z 1954 r.

Po długich, jak widać, dyskusjach nie wykorzystano najprawdopodobniej żadnego z niemieckich cokół. Większość z nich usunięto, jedynie na Górcie Mieszczańskiej można podejść pod zrujnowaną „piramidę”, upamiętniającą złotoryjan poległych podczas I wojny, pozbawioną tablicy i orła. Cokół pomnika Trozendorfa istniał aż do 1990 r. Kamienna kolumna z twarzami spod kościoła św. Mikołaja została skradziona w 1995 r. Przy ul. Cmentarnej, niedaleko terenu, gdzie istniał cmentarz żydowski, „wychodzi z ziemi” fragment cokółu pomnika Wilhelma I.

Roman Gorzkowski



Cokół po pomniku Ludwika Jahna



„Piramida” upamiętniająca złotoryjan poległych podczas I wojny światowej

Zabytki na emigracji Obraz Valentina Trozendorfa

Na początku ważna uwaga – mamy nadzieję, że opisywany zabytek istnieje, tylko znajduje się gdzieś poza Złotoryją. Jego powojenne losy nie zostały niestety wyjaśnione. Był widziany w kościele Mariackim w pierwszych latach po II wojnie, następnie podobno został przeniesiony do kościoła św. Jadwigi.

Złotoryjanie w rozmaity sposób pamiętali o Valentinie Trozendorfie, swoim najwybitniejszym mieszkańcu. Miał on plac swojego imienia (dziś pl. Niepodległości), uliczkę (ob. Maluchów), pomnik (1908 – patrz Echo kwiecień 2019), wzgórze nad miastem (powyżej zalewu), symboliczne epitafium w kościele Mariackim (istnieje).

Obraz ufundowały złotoryjskie władze, zawiął w 1592 (lub 1593) w prezbiterium kościoła NNMP. Namalował go farbami olejnymi Adam Winkler z Frankfurtu (n. Odra?). Samo płótno bez ramy miało 1,86 metra wysokości i 1,01 metra szerokości, a dolna inskrypcja 0,41 metra wysokości i 1,01 metra szerokości. Wiadomo, że artysta starał się przedstawić rektora w jego naturalnej wielkości, a nie był on okazałej postury.

W dolnej części obrazu czytamy (tłum. z łaciny): *Valentinowi Friedlandowi Trozendorfowi, [mężowi – przyp. RG] prawdziwej pobożności i bojaźni bożej, uczciwego życia, rzetelności, jednym słowem wzorowemu przykładowi wszelkich cnót, doskonałemu mistrzowi pomyślnego kształcenia młodzieży, który dla bożego Kościoła i miasta wykształcił wielu znakomitych mężów, krótko mówiąc, najbardziej zasłużonemu dla całej potomności. Urodzonemu w roku pańskim 1491 [właśc. 1490 – RG], zmarłemu w wieku 67 lat [właśc. 66 – RG] 25 kwietnia [właśc. 26] roku pańskiego 1556, senat tego miasta z wdzięcznością kazał wykonać [ten obraz] w roku pańskim 1592 [1593?].*

Roman Gorzkowski

Wakacyjny konkurs - niespodzianka

W nadziei, że w wakacyjnej porze zbudzić się może również niecodziennym konkursie. We wszystkich przypadkach chodzi o podanie nazwy miejscowości. Uczestników konkursu, którzy prawidłowo odpowiedzą na wszystkie pytania, Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej nagrodzi ciekawymi wydawnictwami o naszym regionie.

Zapraszamy!!!

1. To dolnośląskie miasto, jako pierwsze na ziemiach polskich, otrzymało w 1211 r. nowoczesne prawa miejskie, wzorowane na prawie magdeburskim.
2. Na pierwszej mapie Europy w 1467 r., na terenie całego Śląska widnieją tylko dwa miasta. Jednym z nich jest Wrocław. A drugim?
3. Jakie miasto na Dolnym Śląsku zorganizowało po raz pierwszy w 1994 r. Otwarte Międzynarodowe Mistrzostwa w Płukaniu Złota?
4. W tym mieście już na przełomie XV i XVI wieku powstała unikalna biblioteka łańcuchowa, której księgi znajdują się teraz w Bibliotece Narodowej w Warszawie.
5. W jednym z miast śląskich wznosi się kościół zbudowany w XIII w., w którym po raz pierwszy na ziemiach polskich wprowadzono tzw. maswerk, czyli kamienny element dekoracyjny wypełniający przestrzeń średniowiecznego okna.
6. Na Rynku tego miasta stoi jedyny w Polsce pomnik kopaczy złota.
7. Tylko w tym jednym polskim mieście znajduje się Muzeum Złota.
8. W okolicach jakiej miejscowości najwcześniej na ziemiach polskich rozpoczęło się wydobywanie złota?
9. Istnieje powiedzenie, że „tylko w tej miejscowości zmarli spoczywają w złocie”, bo cmentarz jest tam położony na terenach złotonośnych.
10. W 1241 r. odbyła się bitwa z Tatarami pod Legnicą. Kronikarz Jan Długosz napisał, że polskich rycerzy wsparli kopacze złota z pewnej miejscowości. Z jakiej?
11. W jakim mieście dolnośląskim, zdaniem historyków, osiedlił się najwcześniej zakon franciszkanów?
12. W tym mieście ma swoją siedzibę Polskie Bractwo Kopaczy Złota, które jest członkiem Światowej Federacji Kopaczy Złota.
13. W jakim mieście odbyły się w 2000 i 2011 r. Mistrzostwa Świata w Płukaniu Złota?



14. W najbliższych okolicach tego miasta znajduje się rezerwat skalny, w którym zobaczyć można tzw. skalną różę, jedyne w Europie takie ułożenie bazaltów.
15. W XIII w. mieszkańcy tego miasta założyli Toruń (jak piszą historycy toruńscy).
16. W średniowieczu (1268) to miasto chlubiło się największą pieczęcią (o średnicy 68 mm) spośród innych miast Dolnego Śląska.
17. W XVI wieku działało tutaj słynne na całą Europę gimnazjum, którego najwybitniejszym rektorem był Valentin Trozendorff.
18. Mieszkańcy jakiego miasta uznają dzisiaj Valentina Trozendorfa za najwybitniejszego mieszkańca i ufundowali mu pomniki w 1908 i 1996 r.?
19. Najstarsza nazwa tego miasta brzmiała w języku łacińskim AURUM (Złoto).
20. Tylko w tym polskim mieście działa Klub Uratowanych Spadochroniarzy.
21. W jakim mieście odkryto niedawno fragmenty największej szubienicy na Dolnym Śląsku.
22. Miasto to odwiedził w 1800 r. podczas swojej podróży po Śląsku John Quincy Adams - późniejszy szósty prezydent USA.

Roman Gorzkowski



Caspar Peucer - uczeń szkoły złotoryjskiej (1535-1540), autor mowy, którą wygłosił potem na Uniwersytecie w Wittenberdze Balthasar Rhaw



Balthasar Rhaw - uczeń szkoły złotoryjskiej (1542-1548), wygłosił 18 września 1564 r. w Wittenberdze mowę poświęconą rektorowi Valentinowi Trozendorfowi



Valentin Trozendorf (1490-1556) - rektor szkoły złotoryjskiej (1525-1527, 1530-1546) i rektor Gimnazjum Humanistycznego (1546-1556)

Mowa o życiu i zarządzaniu szkolnym Valentina Friedlanda Trozendorfa, rektora założyciela Szkoły Złotoryjskiej...

To niesamowite źródło historyczne jest najbardziej wartościowym opisem (jaki się zachował) do życia Valentina Trozendorfa i funkcjonowania Gimnazjum Humanistycznego w Złotoryi. Wszystko co napisano po tym tekście o Trozendorfie i jego szkole, jest tylko w większym lub mniejszym stopniu powtórzeniem lub właśnie z tej przemowy.

i wygłoszona została przez naocznych świadków - dawnych uczniów: Caspara Peucera (autora mowy) i Balthasara Rhawa (recytatora mowy na Uniwersytecie w Wittenberdze - 18 września 1564 r.). Po raz pierwszy tekst wydano drukiem w *Przemowach Melanchtona (Orationum quas reverendus vir Dominus Ph. Melancthon..., T. 5, Wittenberga 1572, s. 817-841).*

Oryginalny tekst w języku łacińskim, upiększony 8 cytatami starogreckimi, zajmuje 20 kart

(ok. 30 000 znaków, czyli 17 stron maszynopisu). Nie sposób go tutaj w całości zamieścić i przeanalizować. Stąd też skupimy się jedynie na opisanych w tekście niesamowitych umiejętnościach dydaktyczno - wychowawczych Valentina Trozendorfa.

Badania z dziedziny dydaktyki, pedagogiki i psychologii potrafią teraz wyjaśnić, co decyduje o sukcesie i skuteczności nauczyciela. Taki mistrz - nauczyciel powinien m.in. potrafić:

- nieporządkiem,
- wpajać moralne zachowania i standardy klasowe (także swoim własnym przykładem),
- spojrzeć na sytuację w klasie z perspektywy uczniów,
- perfekcyjnie planować i prowadzić zajęcia,
- wykazywać spontaniczność i korzystać z poczucia humoru,
- stosować zjawisko wszechobecności - stwarzać wrażenie, że wie o wszystkim co dzieje się w klasie,
- wykazywać podzielność - zajmować się wieloma rzeczami jednocześnie,
- stosować płynność - reagować tak, aby przebieg procesów w klasie odbywał się bez zakłóceń...
- W XVI w. nikt oczywiście o takich umiejętnościach i zasadach nie słyszał. Gdy się jednak przyjrzymy temu,

co o Trozendorfie pisali jego uczniowie, to można odnieść wrażenie, że złotoryjski rektor potrafił instynktownie stosować najsukcesywniejsze sposoby nauczania. **Uczniowie tak zapamiętali niesamowite umiejętności swojego nauczyciela:** [...] Mówić mam zamiar o znakomitym mężu i utalentowanym szczęśliwym wychowawcy, Valentinie Trozendorfie, na którego w tej mowie pochwalnej, jeżeli w nadmiarze oddałem moją miłość dla niego, raczej mi dać wybaczenie, czymkolwiek umniejszyłem w niniejszej części, co nie mogło by oddać wdzięczności za dobroć, na jaką zasługuje jako najlepszy nauczyciel, niech będzie oczywistym, że kiedy przebywaliśmy z nim, tak wiele nauczyliśmy się w jego szkole, on otoczył nas ojcowiskim objęciem, starannie troszcząc się, wiele o nasze postępy w dziedzinie edukacji, wprowadzając nakaz cnotliwej pracy; zarówno dla dobrej literatury, jak i dodatkowo nauczania wiedzy religijnej.

Nie brakowało przy tym Nauczycielowi stosownej wobec nas surowości, jednakże bez ponuractwa i jakiegoś osobliwego dziwactwa; i godnej podziękowania życzliwości, dostosowanej do naszego wieku. Wspaniałej zręczności w wykładaniu tego, czego należało się nauczyć. Tak nią kierował, że zniżał się do możliwości rozumienia i dostosowywał do możliwości pojmowania poszczególnych uczniów, gdyż posiadał niemal nieograniczoną różnorodność talentów. Zaiste, jak sądzę, w ćwiczeniu naszych wystąpień, domagając się najwyższej gorliwości. Przeto, chociaż baliśmy się go, lękaliśmy i szanowaliśmy jako nauczyciela, jednak kochaliśmy go i wielbiliśmy jak ojca.

Głoszę zażutone upamiętnienie męża, które będzie oddane w opiekę potomnym. Jednakże godniejszy jest przykład kierowania retoryką, którą tak dalece doprowadził do postaci najlepszych metod, przez uporządkowanie klas obywateli, praw, nauk, wojska, sądownictwa, urzędów, obowiązków publicznych i prywatnych, że czuje się jego obecność, mimo, że go nie ma. Kierował z jednakową surowością i pomyślnością i wszystko zawsze doprowadzał do końca; zarówno

w obowiązkach jak i w wyznaczonych celach, trzymał uczniów niemal jak w jakichś więzieniach; i był przy każdym, mimo że znajdował się daleko. Oglądał osobiście wszystkie wystąpienia; zapędzał w kozi róg i oceniał; sterował wśród wszystkich sposobem myślenia i przemawiania. Gdy w jakimkolwiek momencie coś czynił, nic jak tylko nauczał żywym głosem, powtarzał zadania, radził, karcił, zachęcał, groził karami myślącym się, wreszcie; jako że urodził się do tego królowania w szkole, wydawał się z boskiego natchnienia zaopatrzonej w niezbędne środki pomocnicze.

Były to bowiem zajęcia naprawdę boskie i godne podziwu, pożądane i z przeznaczenia. Gdy przystępował do swojej pracy, o czym zapewniało wielu z tych, którzy wychodzili z jego szkoły, to był obdarzony tak ogromnym poważaniem, że samo patrzenie się na obecnego i sama pamięć o nieobecnym były poręczeniem i dowodem, wśród osobników bardziej nieokreślonych i mniej wychowanych, że z trudem gdzie indziej strach przed przepisami i karami miał znaczenie. Wciąż znakomicie utrzymywał i powiększał otaczające go poważanie, dzięki skrzętności w obowiązkach zawodowych oraz uczciwości i skromności czystego życia. Dodatkowo uważał, by prześcigać i przewyższać swoich uczniów tą umiejętnością nauczania, którą przekazywał i przygotowywał zarówno z prawdziwą miłością, jak i doskonałością cnot, którymi zjednywał sobie względy wszystkich, żeby nawet nie powstała zła podejrzenie, ani w duszach ludzkich ani z innej strony. [...].

Ponieważ wieści o jego sławie dużo wcześniej wypełniły cały Śląsk, prędko wielka liczba studentów napływała do niego ze wszystkich zakątków. [...].

Całe zgromadzenie, które było liczne, lecz zróżnicowane talentami, podzielił atejskim i rzymskim zwyczajem na sześć klas, klasy zaś na tribus. By dla poszczególnych klas zostały wyznaczone odpowiednio,

według uzdolnienia talentów, studia: wyższe klasy sam uczył, w pierwszych kilku latach sam jeden, w następnych z pomocą kolegów, których powołał. Niższe klasy uczył przez uczniów starszych wiekiem, takich, co do których pragnął, by przy tej sposobności ćwiczyli swe talenty i postępy. Bardziej przyuczonych ćwiczył w podstawach nauki świętej, w używaniu języka łacińskiego i greckiego, i w innych sztukach, które są przekazywane dla kształtowania wymowy i kierowania umysłowością. Dla tego celu wykladał i poematy Wergiliusza, i listy Cyserona, mowy, „O powinnościach”, i księgi Liwiusza. Dla podstaw greki wykladał pisma Izaakratesa i listy św. Pawła. I poświęcał jedną godzinę każdego dnia na powtórzenia, wylącznie tego, co już się nauczyliśmy, w ten sposób on pragnął, jeszcze pewnie pobudzić swoich słuchaczy do większej staranności i pilności. We wszystkich swoich wykładach on dołączał przemyślenia lub uzasadnienia, nad którym uczniowie musieli dyskutować, aby dostrzec wcześniej poznane reguły dialektyki i aby sami poznali rzeczy, a ponad to, przyzwyczajali się do wnioskowania i myślenia. [...].

Wyjaśnienia przemyśleń [argumentów] i kwestii [zasadniczych], albo sam wykladał, albo sam nauczał, albo domagał się od któregoś ze słuchaczy, który w razie potrzeby, zapowiadał szersze i ze źródła poszukiwania, wyznaczając czas na nie przed publicznym wykładem. Potem znowu, każdego tygodnia ćwiczenia w dwóch stylach zaplanowano, innego w mowie swobodnej (nie związanej regułami metryki), innego w wierszach. Trzecie z nich były dysputy, które był im zapowiadał, przedkładając temat do dyskusji.

Dobierając materiały do ćwiczeń pisemnych, część brał z nauki religii, część zaś z filozofii: ale nigdy niepotrzebne i blahe. Od wszystkich wymagał jednej pracy pisemnej, aby dogłębnie sprawdził ich pilność, lecz rzadko sprawdzał, gdyż czasu nie było wystarczająco, tych których style [wypowiedzi] były tworzone niezgodnie, tym doradzał, to odrębnie, wzywając ich do siebie, gdzie to było wygodnie dokładnie wytłumaczyć na osobności, i przy tej sposobności przekazyując wszelkie zalecenia. Poza tymi cyklicznymi wystąpieniami i oprócz codziennego zwyczaju mówienia w języku łacińskim, znajdował okazję do doskonalenia wielu innych [umiejętności, ćwiczeń, obowiązków], dając powód wprowadzenia dyscypliny, z której rozwój Państwa będzie wspierany.

Sam stał na czele całego zgromadzenia, ale też używał dozorców, tak aby w tej wielkiej gromadzie, ani w jakimkolwiek miejscu, ani w dowolnym czasie jego cenzorów [czuwających nad moralnością i obyczajowością] nikomu nie brakowało [...].

Damian Komada



Dziś kolejny przyczynek do dziejów baszty Kowalskiej (w poprzednim Echu pojawiła się dwa razy - na okładce i w tej rubryce). Fotografii wykonano dokładnie 4 czerwca 1972 r. Kończył się wtedy najważniejszy remont zabytku w całej jej historii, rozpoczęty w 1970 r. - to wtedy zainstalowano schody wejściowe, oświetlenie i drzwi, odbudowano stropy wewnętrzne, urządzono taras widokowy a rusztowania pozwoliły uzupełnić ubytki w murach. Prace prowadziła brygada remontowa Rzemieśniczej Spółdzielni Zaopatrzenia i Zbytu, konstrukcje stalowe wykonały ZG „Lena” a kamienia dostarczyły Bolesławieckie Zakłady Kamienia Budowlanego. Wkrótce potem opiekę nad basztą objęło miejscowe PTTK. Na zdjęciu akurat pod nią przechodzą uczestnicy szkolnego III Złotu Przewodników Nauki i Pracy Społecznej. Czekamy na wspomnienia wykonawców renowacji i złotowiczów.

Roman Gorzkowski



Historia jednej fotografii Baszta nad złotem

Warto przeczytać



Na białą godzinę

Miniatura

„Na białą godzinę”

Złota Zarebska wydała niedawno swój kolejny tomik poezji pod tytułem „Na białą godzinę”. Składa się on z trzech rozdziałów noszących tytuły: „Beziebia”, „Remonty dni” i „Antypody czasu”. Jego zawartość tworzą wiersze nasycone celnymi spostrzeżeniami i osobistymi refleksjami na temat życia i ludzi. Sporo miejsca poświęciła autorka ich portretom (najczęściej kobiet), inspirować się nie tylko konkretnymi osobami z jej otoczenia, ale również postaciami mitologicznymi, takimi jak Galatea czy Syzyf oraz bohaterkami tekstów kultury, jak na przykład Anna Karenina. Z jej utworów wylania się ciekawa wizja świata, który wciąż nie przestaje dziwić. Z nutą melancholii, czasem humoru, a nawet dziecięcej ciekawości wprowadza czytelnika do krainy uczuć i przeżyć ludzkich. Czytelnik w każdym wieku znajdzie w tych wierszach coś interesującego. Natomiast polonista czy wytrawny znawca tematu zwróci również uwagę

Kącik starej widokówki

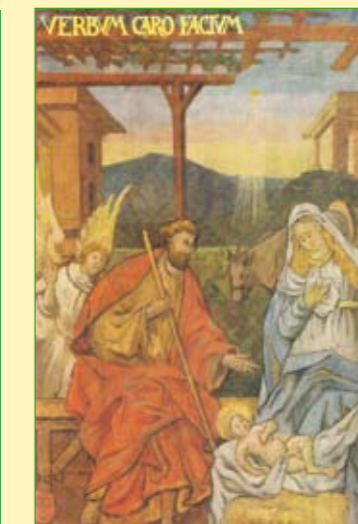
Skarby z XVII wieku

na doskonały warsztat poetycki autorki: dbałość o formę (metrum, średniówka, wyrafinowane rymy niedokładne, liczba zgłosek, zestroje akcentowe) oraz o język, który jest jak najbardziej współczesny. Utwory są bardzo melodyjne, można powiedzieć, że to poezja śpiewana.

Widać, że zarówno pod względem formy, tematyki, refleksji, jak i kreacji przestrzeni poetyckiej autorka czerpie z twórczości Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Wisławy Szymborskiej, Marii Konopnickiej czy Bolesława Leśmiana.

Myślę, że tomik wart jest polecenia. Świetnie nadaje się na prezent. Warto go mieć na półce z książkami lub nosić po prostu ze sobą, tak na „białą” godzinę. Serdecznie polecam!

Beata Jańta



na następujące pytania: o jaką świątynię chodzi, gdzie dokładnie się znajdują, kto i kiedy je ufundował oraz podają polskie tłumaczenia napisów - czekają nagrody książkowe. Zapraszamy do poszukiwań!

Roman Gorzkowski

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW ZIEMI ŻŁOTORYJSKIEJ



Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej liczy sobie 31 lat.

A każdy rok to wiele inicjatyw skierowanych do mieszkańców naszej Małej Ojczyzny. To kolejne wydania książek, broszur, widokówek i czasopism, to konferencje, i niezliczona ilość przebytych kilometrów podczas rajdów i wycieczek, to tysiące zdjęć, obrazów i różnych przedmiotów wyeksponowanych podczas wystaw.

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej,

59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1,

e-mail: tmzz@tmzz-zlotoryja.pl; tel.: 571254858

TMZZ zdobył tytuł Laureata w VI edycji konkursu zDolne NGO

Niektóre z przedsięwzięć zrealizowanych przez TMZZ w 2018 roku:

VII Złotoryjski Przegląd Kultury Kresowej, XVII Powiatowy Dzień Regionalisty, XXI Rajd Jadwiżański, upamiętnienie Herberta Helmricha płytą na deptaku w Alei Złotych Ludzi, Europejskie Dni Dziedzictwa pod hasłem „100-lecia odzyskania niepodległości”, spotkanie uczniów SP 3 z „Echem Złotoryi” w ramach projektu „Niepodległa” – „Godność, Wolność, Niepodległość”.

* OŚRODEK DOKUMENTOWANIA I OPRACOWYWANIA DZIEJÓW ZIEMI ŻŁOTORYJSKIEJ

* ECHO ŻŁOTORYI

* BIBLIOTECZKA MIŁOŚNIKÓW ZIEMI ŻŁOTORYJSKIEJ

* ŻŁOTORYJSKI KLUB FOTOGRAFICZNY

* KOŁO KRESOWIAN

* KLUB KOLEKCJONERA

* RAJDY I SZLAKI ŚW. JADWIGI ORAZ ŚW. JAKUBA

ECHO ŻŁOTORYI

ŻŁOTORYJSKI KLUB FOTOGRAFICZNY

GALERIA SPONSORÓW

**TO MIEJSCE
CZEKA NA TWOJĄ
REKLAMĘ**

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne
BAZALT
„Bazalt” SA w Wilkowie

LASY PAŃSTWOWE
**NADLEŚNICTWO
ŻŁOTORYJA**

Lena
Wilków Spółka z o.o.
PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl
lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 768783 480, fax +48 76 8783 212



VITBIS
szklane bombki choinkowe

POAR
Złotoryja

grysy bazaltowe

- * płukanki
- * kolorowe
- * posypki
- * mączki

STONESPOL
PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Żłota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023



ECHO ŻŁOTORYI

Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej

Adres redakcji: 59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1 („Bacalarus”), tel. 571254858, Internet: www.tmzz-zlotoryja.pl, www.facebook.com/echo.zlotoryi, e-mail: echo@tmzz.pl

W pracach redakcyjnych uczestniczyli społecznie: Roman Gorzkowski, Beata Jańta (korekta), Jarosław Jańta, Damian Komada (skład), Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Krystyna Rybicka (dystrybucja), Danuta Sosa, Joanna Sosa-Misiak (redaktor naczelna).

Zdjęcie na okładce: Krystyna Gęsiór, Fragment willi na ul. Staszica 3-12.

Echo Złotoryi jest laureatem Dolnośląskiego Klucza Sukcesu za 2013 rok

